MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 27 WARSZAWA, 1 GRUDNIA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

O SWIADOMOSĆ DZIEJOWĄ

KAŻDY, zorjentowany w stosunkach politycznych i w historji Polski, zdaje sobie doskonale sprawę z tego, co znaczy zachowanie się Litwy albo „Ukraińców“ na naszych ziemiach ruskich. Tak oto wygląda robota Niemiec, zapuszczających kły ku wschodowi, aby nas niemi objąć. Te skrobania i manewry szczurów w ścianach naszego domostwa mają swoją wymowę historyczną; przypominają nam, że *Drang nach Osten* nie ustaje na chwilę od tysiąca lat, że od początku 20-go wieku ze wzmożoną narzuca się natarczywością, że nie powstrzymała go wojna zwycięska, ale źle wyzyskana, i że uwaga narodu zwrócona być winna na ścianę zachodnią.

A więc czy dobrze myśleli o interesach Polski ci, którzy, skupiając uwagę narodu tylko na ścianie wschodniej, usypiali świadomość polską co do niebezpieczeństw z zachodu, a nadto w chwili krytycznej otwierali sami drogę na wschód państwom centralnym?

Słusznie zaznaczył ktoś z publicystów, że obchody wielkich rocznic przyczyniają się do rozwoju wyobraźni historycznej. Nasuwa się jednak pytanie, czy miał takie znaczenie obchód ostatni, w którym oficjalnie ani razu, ani słowem nie poruszono w tej wyobraźni motywu zwycięstwa, odniesionego nad Niemcami, a natomiast gloryfikowano tych, co w wyborze frontu się pomylili.

Nie tylko przy tej okazji; stale, oddawna i dotąd dokonywa się w Polsce ubolewania godna praca, umiejętnie organizowana, w celu pomylenia pod tym względem świadomości dziejowej. System jest dość skomplikowany, a dąży do tego, aby odebrać myśli politycznej Polaków oparcie w poczuciu rzeczywistości. W celu zbudowania tego systemu czepiono się teorji powstań, urządzanych w zaborze rosyjskim i te podniesiono do znaczenia metody, obowiązującej Polaków po wszystkie czasy, nawet po osiągnięciu niepodległości.

Jest faktem, że święto 11 listopada 1928 było oficjalnem świętem haseł powstańczych z pominięciem wszystkiego, co mogłoby przypomnieć dzieje obrony i obowiązek na przyszłość obrony od zachodu, nawet z pominięciem istotnych powstań na Śląsku i w Poznańskiem.

Marszałek Szymański, mąż zaufania rządu, organ jego myśli, mówił z okazji tej rocznicy na nroczystem posiedzeniu Senatu:

„Ziściły się dążenia bohaterskich powstań lat 1794, 1831, 1863 i późniejszych porywów wolnościowych w roku 1905“.

Urzędowa „Epoka“ pisze w dniu święta:

„Jak zamieranie życia państwowego w Rzplitej 18-go wieku było stopniowe, tak samo powrót jego w 20-tem stuleciu był stopniowy. Dla czującej, myślącej i czynnej części społeczeństwa dzień 11 listopada 1918 r. był logiczną konsekwencją zamierzeń i dzieł, dokonanych przez powstania 1794, 1830, 1848, 1863, walki podziemnej z caratem na początku 20-go wieku i wreszcie co najważniejsze, czynu zbrojnego legjonów z 1914 r.“

Nie będę przytaczał głosów samych „powstańców“, ale sięgnę dla przykładu do obozu konserwatywnego, któremu wiek 19-y zeszedł na walce z ideą powstańczą. „Czas“ z okazji święta w artykule prof. Estrajchera ustala również fakt zwiazku dziejowego w łańcuchu powstań od legjonów napoleońskich do legjonów austrjackich 1914 r. i, włączając również ogniwo r. 1905, przypisuje wielką zasługę tej idei w odzyskaniu niepodległości. A prof. Wł. L. Jaworski w tymże „Czasie“ podsuwa obowiązującej dzisiaj nauce o „powstaniu“ teorję filozoficzną, w której przechyla się „ku romantyzmowi“ (taki tytuł artykułu). Nawiązuje się do legendy, jakoby powstania były dziełem poezji romantycznej...

Nawet Bernard Chrzanowski w Poznaniu, od pewnego czasu zatrzymany na uboczu od prądu

„nacjonalistycznego", dał w przemówieniu wyraz temu obowiazującemu dzisiaj kultowi idei legjonowej. Niepodległość Polski według niego to triumf „orjentacji poezji". Oczywiście cały obchód, oficjalnie organizowany, manifestacyjnie pominął wszystko, co mogło przypomnieć i podnieść zasługę tych, którzy naród prowadzili do walki z Niemcami.

Z „ideologji" sanacyjnej wynika, że łańcuch powstań w wieku 20-m zaczął się w r. 1905, a uwieńczeniem ich było ostatnie powstanie w maju 1926 r., które ustaliło przy rządach tych ludzi, którzy w okresie r. 1905—1914 organizowali się zbrojnie i politycznie w Galicji, a potem już w Polsce niepodległej potrafili te kadry swoje utrzymać i ściśle według wzoru z roku 1911 zastosować.

Chodzi właśnie o to, że Polacy ze szkoły politycznej austrjackiej nie postąpili naprzód w kulturze świadomości dziejowej. Cóż bowiem robił z nami Bobrzyński według instrukcji wiedeńskiej? Przecież nie powstanie, bo sam osobiście w możność odzyskania niepodległości polskiej nie wierzył i był przeciwnikiem powstań. Nasza pamięć historyczna z przyjemnością zapomina o tem, że Bobrzyński robił nie jedną, lecz jednocześnie dwie imprezy: 1) polską, 2) ukraińską, z których druga istotnie była powstaniem, ale przeciw Polakom, zanim miało się ono skierować przeciw Rosji. Z tego samego planu, co legjony, wynikły „sicze" i ten rozmach powstańczy ukraiński, który jest dzisiaj przeciwko nam skierowany. Hasło „za naszą i waszą wolność" tak wówczas wyglądało, że ci, co strzelców formowali, jednocześnie uświadamiali ukraińców i musztrowali. Rząd wiedeński, będący przecież tylko wykonawcą planów Niemiec, przygotowywał na czas wojny z Rosją dwa tereny wypadowe: jeden polski w Galicji zachodniej, drugi ukraiński—ze wschodniej. Zarówno Polakom, jak i Ukraińcom obiecywał za to niepodległość, a jednocześnie odrywał od Polski połać „ukraińską", co odpowiadało porozumieniu zaborców, żeby nagwałt uszczuplać terytorjum sprawy polskiej. W Galicji postarano się o skierowanie opinji patrjotycznej przeciwko wydzielaniu administracyjnemu przez Rosję Chełmszczyzny, ale kazano nie widzieć, że w Prusach wznowiono gwałtownie system wywłaszczeń, a w Austrji gotowano rozbiór Polski przez odrywanie wschodniej połaci Małopolski. I to zaćmienie świadomości dziejowej dotąd zostało.

Czy nie wiedzieliśmy wtedy, że ta robota jest przygotowywaniem drogi na wschód dla Niemiec? Nie chciano o tem słuchać, broniono się od tej świadomości, aby ona nie psuła nastrojów. Wrogiem był, kto prawdę wskazywał.

„Przegląd Narodowy" o tym stanie umysłów (Warszawa 1912, listopad, s. 536) pisał:

„Galicja przeżywa chwilę „dziwną, osobliwą" — gra tam muzyka chocholska, a społeczeństwo w nią zasłuchane kręci się jak zaczarowane: „raz dokoła, raz dokoła". Uczucie polityczne wyzyskuje chochoł austrjacki, grający muzyką piekielną. I oto na tem tle mamy przygotowania „powstania za pozwoleniem zwierzchności". Głęboki zaiste tragizm tkwi w tym rozłamie duszy narodowej"...

Brałem osobiście udział w zdobywaniu z Berlina dowodów, że cały ruch ukraiński znajduje się bezpośrednio w rękach Niemiec, że konsul niemiecki we Lwowie, przy pomocy dyrektorów policji we Lwowie (zawsze Niemców), ruchem tym kieruje, łożąc marki niemieckie. Gdyby nie *Ostmarkenverein*, który przyznał, że dokumenty, ogłaszane w „Słowie Polskiem" (1913-14), są prawdziwe, to uchodzilibyśmy do dzisiaj ze ś. p. Krysiakiem, który te dokumenty zdobywał, za fałszerzy, bo polska prasa strzelecka zapewniała opinję, że dokumenty są podrabiane.

Walka, zorganizowana przez Austrję w latach 1911-14 przeciwko obozowi narodowemu w Galicji, toczyła się pod hasłem ukrainizacji Wschodniej Małopolski. W tym celu rząd wiedeński przy pomocy namiestnika i skarbu swojego wytworzył blok wyborczy, który odtąd w połączeniu faktycznem z socjalistami, żydami i ukraińcami, miał decydować o polityce polskiej Galicji. Dzienniki wiedeńskie z 19 stycznia 1911 r. ogłosiły następujący telegram z Krakowa:

„Dzisiaj zawarto kompromis wyborczy pomiędzy konserwatystami, demokratami i partją ludową. W tym celu przybył do Krakowa namiestnik dr. Bobrzyński i konferował przez dwa dni z burmistrzem krakowskim i przywódcą demokratów polskich dr. Leo, oraz przywódcą stronnictwa ludowego, Stapińskim. Ten blok ma przedewszystkiem na celu z u p e ł n i e o d o s o b n i ć w s z e c h p o l a k ó w w walce wyborczej i o ile możności o s ł a b i ć i c h s t a n o w i s k o p o l i t y c z n e, a nawet całkowicie zniszczyć"....

Tak powstała ówczesna „Jedynka", która jednak nie tylko urządzała wybory, ale po zniesieniu Rady Narodowej, wytworzyła Komisję Tymczasową (formacje strzeleckie) i następnie Nacz. Komitet Nar. (NKN). A instytucje te miały zadanie ustalić ten układ stosunków na czas wojny. Tak wygląda początek powstania 1914 r. W dwa lata potem w dyskusji znacznie szerszej i doniośliejszej niż przedwyborcza, „Czas" z 30 stycznia 1913 r. tak uzasadniał konieczność bloku:

„Na platformie p o z y t y w n e j pracy spotkać się musiały stronnictwa, które mają ją w swoim programie, i dążyć do kompromisu. Oto tajemnica bloku. Jest w nim miejsce dla dla każdego, kto chce zdziałać c o ś d o d a t n i e g o. Niema w nim miejsca dla tych, którzy szerzą a n a r c h j ę. Bez bloku zapanowałaby... anarchja. Gdy Demokracja Nar. w zabiegach o podniesienie się nie ustaje i gdy metody w i c h r z e n i a systematycznie uprawia, przeto kraj musi być przygotowany na ciągłą obronę przed atakami".

Jednem słowem blok miał zadanie zabezpieczyć Austrję od wichrzeń polskiej polityki narodowej. Cele i motywy tego bloku z każdym rokiem stawały się jaśniejsze i bardziej złowrogie. Nie ustawała też walka obozu narodowego. Znowu po roku, 27 stycznia 1914 r., a więc w przededniu wojny, „Słowo Polskie", stawiając kropkę nad i, wołało wielkim głosem: „Społeczeństwo musi kierować się w życiu publicznem względami na interesy c a ł e g o n a r o d u — to jedyny kierunek, godny wysiłku mas i ludzi wybranych w narodzie do kierownictwa politycznego".

„Oto patrzcie — pisaliśmy — stosunki w kraju, których uprawę tak gwarantował niedawno naczelny kierownik bloku dr. Bobrzyński, okazały się bagnem. Forytywani Rusini, zrośnięci już politycznie z obcemi mocarstwami, pod osłoną ugody podkopują się pod nasze fundamenty. Ileż to energji te bloki (złożone przecież z „dobrych Polaków“) zużyły na niszczenie polskiego stronnictwa patrjotycznego, aby wysunąć na pierwsze miejsce w kraju politykę ruską. Ile energji zużyto na to, aby zburzyć polską Radą Narodową, a na jej miejsce postawić Komisję Tymczasową, złożoną także z „dobrych Polaków“ (ach, nawet czerwonych), którzy jednak, jeśli chodzi o politykę polską, stoją od niej tak daleko, jak ten żyd w liście wczorajszym pisał: „żyjemy, dzięki Bogu, nie w jakiejś niezależnej Polsce, lecz w państwie austrjackiem i wobec tego państwo pruskie jest naszym sprzymierzeńcem“.

„Upadek skandaliczny kilku figur politycznych, które koronowały ideę bloku i Komisji Tymczasowej, oraz rewelacja w sprawie spisku rusko-pruskiego odsłoniły oczy na na to, jakie to były normalne w kraju stosunki i dlaczego Dem. Narodowa była zwalczana. Ci, co zamach na nasz byt na naszej ziemi uplanowali, kierowali polityką od dołu do samej góry — jak to wyszło na jaw. Nasi politycy („dobrzy Polacy“) próżni jakichkolwiek trosk o losy narodu, pomni zaś tylko inspiracji z boku i z góry, które im się wydawały obowiązującemi, poszli całkowicie na wysługi polityce cudzej. A znaleźli materjał podatny w ludziach upadłych moralnie lub niedojrzałych, nie widzących jawnego niebezpieczeństwa.

„Ognisko narodu niemieckiego jest tak silne, że nas, wyzutych z ambicji i z instyktów politycznych, przeniknęło swemi promieniami nawskroś. Działa ono dyplomatycznie, przez stowarzyszenia jawne (jak H. K. T), tajne (jak masonerja), przez konsulaty, emisajuszy... I oto w rezultacie już nie państwo, ale społeczeństwo samo, nie Austrja już, ale społeczeństwo polskie w Galicji znajduje się niespodzianie dle siebie pod rządami pruskiemi“.

Brak temu zjawisku cech odruchu uczuciowego. Łatwo zrozumieć, że teraz pragnęłoby się związać je w jeden łańcuch ze zdarzeniami wieku 19-go, aby od tamtych dodać mu blasku moralnego. Cóż wspólnego mogły mieć z tamtemi ruchy 1905? Ci, którzy na nie łożyli, mieli na celu zanarchizowanie społeczeństwa polskiego i przerażenie Rosji widmem rewolucji, aby w rezultacie sama prosiła państwa centralne o interwencję w formie okupacji ziem polskich. Już bardzo było blisko tego w r. 1906; starały się wymóc na Rosji ten krok te sfery polityczne, które tak rade były tej okupacji podczas wojny.

Drang nach Osten! Czyż Polacy jedni nie mają zdawać sobie z tego sprawy, że celem tego hasła jest przedewszystkiem zagłada politycznego bytu Polski? Czy oni jedni mają nierozumieć znaczenia ruchu oskrzydlającego przy pomocy t. zw. Ukrainy? Prawdziwe „powstanie“ było na naszych ziemiach w wieku 20-ym, ale było to powstanie ukraińskie w 1919—20 r. Gdyby nie rezultaty wieloletniej pracy owych „wszechpolaków“, których Austrja wytępić kazała na zlecenie Niemiec w latach 1911—14, nie mielibyśmy dziś Lwowa. Ale odrobić to zło, które w Małopolsce Wschodniej wyrządził blok ówczesny, popierający tam „sicze“, mogłaby w Polsce niepodległej tylko solidna polityka narodowa, gdyby... Gdyby znowu i tutaj nie ścigano jej jako warcholskiej, dążącej do anarchji, gdyby z nią — jak się dzisiaj „Głos Prawdy“ przyznaje (nr. 320) — nie walczono „wreszcie armatami“.

Nie tylko nie odrobiliśmy zła, ale je pielęgnujemy, pomimo że „powstanie“ 1914 miało na celu niepodległość i mocarstwowość Polski. Sanacyjny „Il. Kurjer Codz.“ w Krakowie (nr. 310) teraz wyznaje:

„Dziś jest gorzej, jak było w latach 1919—20, bo dziś „ukrainizm“ idzie niepohamowanym pochodem i to nie rewolucyjnym, lecz koncesjonowanym przez państwo! Pieniądze zaś, które obficie płyną z Berlina i Ameryki na rzecz sztucznej ukrainizacji Lwowa, podcinają nogi i ducha społeczeństwa polskiego. Lwów umiał walczyć z krwawemi hordami Konowalców czy Melnyków, ale nie umie walczyć z ruchem ukraińskim, który wyraźnie jest faworyzowany i dlatego dzisiaj z listów, które otrzymujemy, bije gorycz i zwątpienie“.

Poza dziedziczną ideą powstańczą zostały pokazuje się, w umysłach złe nałogi z wychowania austrjackiego, nie dobrze świadczące o czystości samowiedzy narodowej. Treść myśli politycznej taka sama w r. 1927, jak w 1911.

W „Głosie Prawdy“ w r. 1927 pisano (nr. 51)

— „Przymierze nasze z Ukraińcami“, przymierze uczciwe, może powstać... tylko na jednej podstawie—uznania dążeń narodu ukraińskiego do zupełnej, niczem nieskrępowanej niepodległości.

I ani na chwilę nie wahamy się powiedzieć, że to dążenie „Ukraińców“ uznajemy, że gotowi jesteśmy wspierać ich prace w tym kierunku i więcej — że tylko tych kontrahentów z pośród Ukraińców uznamy za uczciwych, którzy na czele swego programu ten postulat (nieskrępowanej niepodległości) stawiają“.

W tym samym duchu mówiło się oficjalnie w Łucku w r. 1928.

Dla tego to, co dla przykładu obszerniej tutaj przytoczyłem, i dla innych okoliczności, zgoła nieświąteczne zgrzyty na nerwach społeczeństwa towarzyszyły wynurzeniom prasy sanacyjnej na tematy historyczne powstań. Im natarczywiej i prawie w jednobrzmiących słowach wiązano r. 1905 i następne z tradycją Kościuszki, tem gorsze tendencja ta robiła wrażenie. Bo oto dzisiaj mogło wszystko już minąć jak ciężki sen. I nie opowiadalibyśmy snów, gdyby nie jawa, która te sny powtarza. Komuż potrzebny jest teraz „blok“ z r. 1911? Dlaczego nie ma mieć w Polsce głosu obóz norodowy? Komu w czem ma on przeszkadzać?

Oto pytania. A wszystkie streszczają się w jednem, pełnem niepokoju. Jakimże to Polakom tak zależy na mąceniu narodowi świadomości dziejowej — gdy jednocześnie słychać chrobotanie w ścianach domostwa, gdy od naporu ściany trzeszczą? Cóż to za „chochoł“ przygrywa nam do sennego tańca? Komuż to zależy abyśmy nic nie słyszeli — „ino granie, ino granie“ — i zatracali poczucie rzeczywistości w dzień biały bytu niepodległego?

ZYGMUNT WASILEWSKI

O POJMOWANIU POLITYKI

POJMOWANIE tego, czem jest polityka, wyrażane w jej definicjach przez przywódców politycznych podawanych, okazuje wyraźnie, że nie są to proste formułki. Jest to dla obozu politycznego sprawa zasadnicza i realnego znaczenia, jak on rozumie istotę swoich funkcyj. Czyż trudno rozpoznać działalność polityczną, na której dnie leży definicja „sztuki dążenia do władzy i jej osiągania" i nic więcej — trzymanie się klamki każdego silnego rządu, bez względu na kierunek i zamierzenia jego poczynań rzuca się w oczy, jako praktyczna realizacja owej doktryny. Któż nie wie, jaką postać żywą przybiera polityka w wykonaniu tak licznych teoretyków, którym oderwane rozważania połączone z samo-analizą przyniosły ideę polityki, jako „oczywiście świństwa".

Te różne sposoby rozumienia, czem jest polityka, odbijają się nietylko na kierunku działania grup, nad któremi dominują, ale wpływają też następnie na dalszy dobór ludzi i wreszcie dany obóz polityczny składa się z ludzi jednolitego typu moralnego. Płytkich karjerowiczów grupuje partja myśląca tylko o władzy, bez określania tego, co w wykonywaniu tej władzy będzie spełniać. Demagogów polityka polegająca jedynie na powodowaniu opinją, rzucaniu haseł, kierowaniu tłumami. Nie potrzeba wyjaśniać kto zgromadza się pod sztandarem doktryny „świństwa". Tak samo jest rzeczą jasną, że ugrupowanie, którego działalność wyraża się przedewszystkiem w aktach gwałtu, terroru, musi szukać specjalnego typu psychicznego.

Jest to dowodem stopnia kultury narodu, im charakter jego organizacji politycznej jest mniej jednostronny, wyższy, oraz bliższy polityce, jako syntetycznemu kierownictwu twórczością narodu.

W ubiegłej dobie życia politycznego naszego kraju, w dobie, której pozostałością są jego formy dzisiejsze, wysunęły się na czoło dwa pojęcia działalności politycznej, z których każde reprezentowało pewną jednolitość, a nie uzupełniały się bynajmniej nawzajem, ale natomiast przeciwstawiły się sobie.

Ustrój państwowy: sejmowa demokracja, system wyborczy i duch kontraktu społecznego zadecydowały o charakterze działalności politycznej oraz formach organizacji politycznej. Partje, nastawione głównie na urabianie opinji dla celów wyborczych, wysunęły demagogję na czoło czynników polityki, a typ demagoga zaciężył na kierownictwie polityką. Tracili na znaczeniu ludzie rozumni i przewidujący, jeśli nie była im dana umiejętność oddziaływania na tłumy, tworzenia haseł, które zyskają popularność.

Jednostronność, wybitnie demagogiczny charakter polityki, którą nakazywał system demokratyczno-wyborczy, nie przyniósłszy państwu kompletnego rezultatu, nie zdoławszy utrwalić rządu, ale przeciwnie załamawszy się na reakcji społeczeństwa, sprowadził w opinji kryzys polityki wogóle. Skoro wysiłki partyj, dostosowanych do unicestwionego ustroju, okazały się zarazem jałowe, zrozumiano nie, że upadła forma działalności politycznej zbyt jednostronnie zacieśniająca politykę do demagogji, a organizację polityczną do jedynie wyborczej, ale że jałową się okazała wogóle polityka a niepożyteczną wogóle organizacja polityczna społeczeństwa.

Równolegle pojawiła się równie skrajna i jednostronna reakcja na demagogiczny charakter polityki. Odrzucono słowo, jako metodę działania i za słowem myśl, oczekiwanie zgody tłumu zastąpiono terrorem, zrzeszenia anarchiczne i płynne — dyscypliną wojskową, przesadną jawność i gadatliwość — konspiracją i spiskiem. Co za niebezpieczna skłonność do skrajności!

Skutkiem owego całego procesu, dowodzącego nieskoordynowania, rozbicia w organizacji politycznej polskiego narodu, było dalsze obniżenie poziomu jego kultury politycznej. Wyraża się ono w obecnym, przejściowym i szczęśliwie załamującym się już okresie, jako wyjałowienie myślowe, płytkość, powierzchowność, prymitywność metod i celów politycznych— perwenjuszowski duch w kierowniczych kołach polityki państwowej.

W społeczeństwie pojawiło się wraz ze zniechęceniem do działalności politycznej, nawet do politycznego myślenia, pojęcie polityki, jako wyłącznie sprawowania władzy państwowej, rządzenia, funkcyj w charakterze organu władzy.

Kryzys partyj politycznych, który, jak dotąd, wyraża się u ogółu społeczeństwa świadomego w tak negatywnej formie odsunięcia się wogóle od polityki, zamiast w dążeniu do naprawy błędów dawnych i uzupełnieniu jednostronnego i skrajnego charakteru organizacji politycznej, jest zarazem wyrazem potrzeby głębszych zmian w ich programach politycznych, załamywania się podstawowych form ustroju państwowego. Szczęśliwe narody, u których reakcja na parlamentaryzm nie była tylko ślepym odruchem negacji, popadnięciem w skrajną przeciwność, albo wielkiem nieporozumieniem, jeśli chodzi o rzekomy program wprowadzenia nowych form konstytucyjnych. Szczęśliwe, jeśli już samo obalenie dawnego ustroju przyniosło im odrazu pozytywną i syntetyczną, nową konstrukcję, a nie tylko zniszczenie, uparte i nietwórcze.

Dzieje wewnętrzne odbudowanego państwa polskiego dają obraz braków w organizacji politycznej narodu i wskazują drogi działania.

Narody wysokiej, starej kultury znajdują się już dzisiaj w tem położeniu, że cała ich twórczość i rozwój posiadają swój syntetyczny wyraz oraz ulegają świadomemu kierownictwu dzięki ich formalnie już nieistniejącej organizacji, obejmującej całość życia. Narody młode, albo zapóźnione wobec sąsiadów w swoich dziejach, pozbawione są świadomości wewnętrznie trwającej i zapobiec ich rozterkom, odruchom, napółświadomemu miotaniu się, musi organizacja formalnie istniejąca, jako wyraz stworzonej syntezy ich życia, organizacja której zadaniem jest nadać kierunek całej cywilizacyjnej twórczości narodu, zbudować jego charakter, indywidualność. Nie może to być zadaniem tylko prawno-państwowych form tembardziej, że ustalone teorje ich powstawania odsunęły je od rdzenia twórczości narodów.

Trzeba, aby świadome, oświecone koła narodu pojęły swoje zadanie jako syntezę całej jego twórczości, a polityką nazwały czynność naczelnego kierownictwa tą twórczością. Wtedy organy pracy politycznej skupiać będą nietylko demagogów, terrorystów czy posłów lub ministrów: każdy uczony, artysta, wykonawca wolnego zawodu, działacz społeczny czy urzędnik, jest materjałem na pożytecznego w polityce działacza, o ile rozumie konieczność regulowania życia narodowego według wspólnego, ogólnego planu,

ku wspólnym, odległym nieraz, celom; o ile poczuwa się do odpowiedzialności za całość życia oraz umie ją zrozumieć i jej służyć.

W tradycji obozu narodowego w Polsce leży rozumienie polityki, jako działalności nie jednostronnej, nie tylko na bieżącą obliczonej chwilę. Kierunek wszechpolski był czemś o wiele szerszem, na większą i dalszą zakrojonem miarę, niż działalność stronnictwa. Praca zapoczątkowana przez Popławskiego miała na oku ujęcie syntetyczne rozwoju życia narodowego, naczelne kierownictwo jego twórczością, organizację świadomości polskiej. Wyraziła się w szeregu działań, prowadzonych na przeróżnych polach życia kulturalnego, społecznego, oświatowego i politycznego, a ujętych w karby jednego, wszystko ożywiającego, wielkiego celu.

Dzisiejszy obóz narodowy w odbudowanem państwie polskiem, w gotowym już zarysie swojej budowy i stworzonych fundamentach nie ogranicza się do polityki w ściślejszem, parlamentarnem znaczeniu tego słowa. Obok Stronnictwa Narodowego stoi Obóz Wielkiej Polski pod kierownictwem Romana Dmowskiego, oparty na założeniach wysnutych z rozpoznania głębszych przemian zachodzących w formach naszej cywilizacji, do którego należy polityka polska w szerokiem, syntetycznem rozumieniu tego słowa.

Lwów ZDZISŁAW STAHL

NOWA OLIGARCHJA

NATURALNYM i jedynym sposobem rządzenia w każdej gromadzie ludzkiej jest oligarchja. Jakkolwiek różne bywają nazwy i pozory form w ustrojach państwowych, pod każdą z nich kryje się treść oligarchiczna. Zarówno monarchje różnych typów, jak i rozmaite rodzaje republik wspierają się na oligarchji i od jej wartości wartość swoją otrzymują. Tę przyrodzoną zasadę rządzenia łatwo odnaleźć w budowie każdego organizmu zwierzęcego, a im wyższy i zawilszy organizm, tem jaskrawiej zasada ta się uwydatnia. Logika organizacji każdej pracy — pojedyńczej i gromadnej — również na czoło wysuwa to prawo, jako nieuniknioną, z natury pracy wynikającą konieczność. A rządy nad gromadą są nadewszystko rządami nad jej pracą. Historyczny rzut oka na społeczeństwa i państwa wszystkich krajów i czasów w całej rozciągłości potwierdza to samo.

Utajoną lub jawną, samorzutną lub świadomą podstawą w tworzeniu się oligarchij zawsze i wszędzie jest to przekonanie, że gromadą ma rządzić garść jej ludzi najsilniejszych, najrozumniejszych, najlepszych. Różnice polegają tylko na sposobach w doborze tej garści i na nich właśnie w dziejach ludzkości daje się wyśledzić niewątpliwy postęp i doskonalenie się zasady oligarchicznej. Jedną z początkowych form hodowania (że tak powiem) oligarchji były kasty, jak w starożytnych Indjach i państwie egipskiem. Forma ta już w założeniu swojem miała zaródź skostnienia i, rzeczywiście, na skostnienie umarła. Wyższą, bo żywszą i giętszą formą doboru oligarchji były następnie stany, z których rządy zagarniał stan, mający nad innemi przewagę zbrojną lub materjalną: rycerstwo, magnaterja, szlachta, mieszczaństwo. Forma ta przetrwała do dni naszych, ale już rozkłada się i ginie. Jesteśmy obecnie świadkami i uczestnikami zastępowania jej przez nową.

Szybki w ostatniem stuleciu rozrost cywilizacji, a głównie szkolnictwa i środków komunikacji powoduje zacieranie się i zanik stanów, które prawnie już istnieć przestały. W pionowej budowie społeczeństwa pozostają tylko różnice zawodów, czyli zajęć i prac, a w poziomej — tylko różnice uzdolnień, czyli inteligencji. Daleko posunięty podział pracy uwidocznia ścisłą wzajemną współzależność prac, a tem samem w najszerszych warstwach gruntuje przekonanie, że żaden stan lub rodzaj zajęcia nie może mieć przywileju rządzenia nad pozostałemi. Powstaje tym sposobem jasne i powszechne zrozumienie, że warstwy powołanej do rządzenia w gromadzie należy poszukiwać w poziomym przekroju społeczeństwa, a nie, jak dotychczas, w pionowym. Rzecz jasna, że warstwą tą może być tylko inteligencja, która dziś rekrutuje się ze wszystkich stanów (dawnych), czyli obecnych zawodów, zajęć i prac.

Tą drogą dawne systemy tworzenia oligarchji człowiek oczyścił ze względów ubocznych (siły fizycznej i materjalnej), a znaczenie rozstrzygające nadał treści duchowej i rasowej. Owa treść tkwiła wprawdzie od początku w zasadzie hodowania garści ludzi najlepszych, do rządzenia przeznaczonych, ale niski stan cywilizacji uniemożliwiał racjonalne jej wydobywanie. Przeto paczyła się w kastach i stanach, mniej więcej zamkniętych i kostniejących, doprowadzając społeczeństwa i narody do gwałtownych wstrząśnień i katastrof. Dopiero cywilizacja współczesna otworzyła naoścież wrota rządzenia przed ludźmi obdarzonymi wyższą inteligencją bez względu na ich stan i rodzaj zajęcia. Owszem, ustanowiła nawet zasadę, że każdy zawód obowiązany jest dostarczać całej gromadzie tyle, na ile go stać, własnej inteligencji, która na równi z innemi ma stworzyć w narodzie jedną wielką warstwę, inteligencji danego narodu, ta zaś — wyłaniać z siebie oligarchję.

Z przyrodniczego, społecznego i moralnego punktu widzenia taki system doboru oligarchji przewyższa wszystkie dotychczasowe i zbliża społeczeństwa do ideału harmonji organizacyjnej. W życiu państwowem uzupełnia go druga zasada, że narodem ma rządzić tylko jego własna oligarchja. I ta zasada pozostaje w zgodzie nietylko ze sprawiedliwością, ale i z doświadczeniami wieków. Od czasów starożytnych aż do najnowszych wszystkie imperja i cesarstwa o wielonarodowym ustroju państwowym wykazały dowodnie, ze są tworami sztucznemi, które od pierwszej chwili dążą do rozpadnięcia się na swoje naturalne, narodowe części składowe. Tylko gwałt przez pewien czas może je utrzymywać kosztem cofania kultury i niszczenia żywych sił ludzkości. Obie zasady łączy ze sobą wielokrotne i ścisłe pokrewieństwo, nie można ich przeto ani teoretycznie, ani w działalności praktycznej traktować osobno. Oligarchja inteligencji narodowej w szeregu idej społecznych jest najnowszą zdobyczą umysłu ludzkiego i już zwycięsko do urzeczywistnień drogę sobie toruje.

Jak każda idea wielka i nowa, ma i ona zaciętych przeciwników nietylko tam, gdzie godzi w egoizm i prywatę, ale i wśród ludzi leniwego ducha, lub fanatyków dawnej klasowości i stanowości. Zwykłe to w kolei spraw ludzkich zjawisko, tu jednak wyjątkowo tem ciekawe, że przeciwnicy nowej i tak życio-

wej idei, owi nałogowcy form zamierających uważają siebie i głoszą za bojowników „nowego ładu społecznego“. Do nich, mianowicie, należą przedewszystkiem socjaliści wszelkich typów, masoni i żydzi. Z pośród nich jedni świadomie rzecz fałszują w tym celu, żeby władzę w społeczeństwie w swoje ręce pochwycić (żydzi, masoni, karjerowicze socjalizmu). Inni zaś, jak wielu ideowych socjalistów, tkwią nałogowo w dawnych stanowych i klasowych przesądach, a naprzykład, od średniowiecznej szlachty tem tylko się różnią, że władzę chcą uczynić przywilejem nie klasy szlacheckiej, lecz klasy robotniczej. Wzorem stanowego egoizmu tej szlachty idealizują klasę robotniczą, w niej wyłącznie widzą zwierciadło cnót wszelkich, rozumu i sprawiedliwości społecznej. Siebie zaś uznają za postępowców i twórców przyszłości. Biedny, politowania godny obłęd klasowy.

Wstecznictwo i starcza skostniałość ideowców lewicowych w dziedzinie ustroju społecznego wlecze ich jeszcze dalej wstecz, gdy chodzi o zagadnienie narodu. Pragną oni zawrócić historję do czasów zamierzchłych, kiedy gromady ludzkie różniły się między sobą zaledwie kolorem skóry i rasą. Najnowszy i najdoskonalszy twór biologicznego i społecznego rozwoju ludzkości — naród chcą unicestwić na rzecz jednej, wielkiej, niezróżnicowanej gromady, obejmującej całą kulę ziemską. Chcą tym sposobem zniszczyć najwyższe szczeble cywilizacji, oparte na zróżnicowaniach indywidualności narodowych, a tem samem strącić ludzkość na dno zwierzęcości, z którego wyciągał ją trud tysiącoleci. Podjęli oni wprawdzie zadanie syzyfowe, mrzonkę, która w żadnych warunkach ziścić się nie może, niemniej jednak, grając demagogją na ciemnocie mas, stwarzają dla rozwoju społecznego liczne przeszkody, dla narodów, zwłaszcza pomniejszych — liczne niebezpieczeństwa, a dla kultury ludzkiej — nieobliczalne straty czasu i energji.

Na szczególne trudności w walce z lewicowem wstecznictwem narażona jest Polska współczesna, a to z powodu swojego położenia geograficznego, swojej młodej, świeżo odzyskanej państwowości, która jeszcze nie zdążyła naprawić szkód, wyrządzonych przez wiekową niewolę, oraz z powodu zadawnionego swego kalectwa w budowie społecznej. Ten ostatni powód na najpilniejszą zasługuje uwagę. W połowie osiemnastego stulecia oligarchja szlachecko-magnacka padła, bo stan na którym się wspierała, osiągnął wtedy szczytowy punkt swego rozkładu i zepsucia. Ponieważ nie było w Polsce dostatecznie licznego i silnego mieszczaństwa polskiego, a lud był zanadto ciemny, przeto nie miał kto ująć władzy w narodzie, aby go przed ciosami zaborców skutecznie obronić. W czasie niewoli politycznej miasta polskie opanowali żydzi i niemcy, utrwalając kalectwo naszej budowy społecznej, a stan ten datował aż do dnia dzisiejszego.

Tym sposobem, już od dwóch wieków bezmała, Polska pozbawiona jest warstwy, z której mogłaby wyrosnąć i na której mogłaby się wesprzeć oligarchja narodowa. W ciągu tego czasu rządy duchowe w narodzie (inne były w rękach najeźdźców) sprawowała inteligencja, wytworzona niemal wyłącznie przez stan szlachecki. Zarówno jednostronne pochodzenie tej inteligencji, jak i potworne warunki polityczne uczyniły z niej oligarchję zawieszoną w powietrzu, widmową, chorą i literacką. To właśnie widmo oligarchji narodowej zastała w Polsce wyzwoleńcza wojna światowa i władzę w nowopowstałem państwie w jego blade ręce złożyła. Skutek musiał być jeden: bezsilne dłonie ciężaru udźwignąć nie mogły i władza wypadła z nich na ulicę. Podjęli ją ci, którzy zawsze na taką sposobność czyhają — karjerowicze polityczni i żydzi.

Z powodu wiekowej tragedji politycznej Polskę ominęła epoka oligarchji mieszczańskiej, tak dla dziewiętnastego stulecia w Europie charakterystycznej. Obecnie zaś ogólne na świecie warunki cywilizacji i kultury, czyli tak zwany duch czasu sprzeciwia się powstaniu jekiejkolwiek oligarchji stanowej. Odrodzone w dwudziestym wieku państwo polskie, stanęło przeto przed jedyną możliwością stworzenia władzy prawowitej: naród polski ma do życia powołać oligarchję inteligencji narodowej, to znaczy — ze wszystkich stanów (dawnych), a dziś — zawodów złożonej. Ponieważ w budowie naszego społeczeństwa istnieją jeszcze duże braki i luki, jak oto — w połowie tylko polska ludność miast, ciemnota ludu wiejskiego, braki w uświadomieniu narodowem warstwy robotniczej i tym podobne — przeto do podjęcia tak wielkiego zadania konieczne jest naprzód stworzenie kadrów tej przyszłej oligarchji, kadrów od pierwszej chwili złożonych z inteligencji narodowej wszystkich warstw, zawodów, dzielnic, województw, powiatów i gmin Polski. Kadry te powstały z inicjatywy i woli Romana Dmowskiego w postaci Obozu Wielkiej Polski.

Jakie bezpośrednie prace oczekują w tej chwili Obóz, o tem, mam nadzieję, będę miał jeszcze możność pisania na tych tu łamach. Tymczasem, na zakończenie szkicu niniejszego, oraz z okazji niedawnych uroczystości w dziesiątą rocznicę powstania państwa polskiego, pragnę złożyć skromny mój hołd genjuszowi i pracy człowieka, którego wszelkie uroczystości w Polsce i hołdy starannie omijają. W najtrudniejszym okresie dziejów Polski nowożytnej Dmowski poraz drugi jako wódz staje w miejscu najbardziej zagrożonem i wskazuje narodowi polskiemu drogę jedyną, do zbawienia wiodącą. Pierwsze swoje dzieło — doprowadzenie narodu do zjednoczenia i założenia fundamentów państwa własnego — nietylko rozplanował, lecz i wykonał. Z ogólnych powyżej szkicowo rozwiniętych uwag jasno wynika, że pracował niemal w próżni społecznej, opierając sprawę na irracjonalnych siłach patrjotyzmu, ducha i kultury polskiej. Mimo to pracował z wiarą proroka i realizmem polityka. Okiem artysty widzę go samotnego we współpracy z żywiołami raczej, a nie z ludźmi. I rzeczywiście, zaledwie pracy dokonał, siły irracjonalne rozpierzchły się, a w organizacji narodu ukazała się groźna i niebezpieczna próżnia społeczna.

Drugie dzieło Dmowskiego, dziś dopiero rozpoczęte, polega na poprowadzeniu narodu polskiego przez bezdroża pustyni społecznej, na której tak nieoczekiwanie się znalazł. Rozszarpywany odwewnątrz przez moce obce i wrogie, majakami ku przepaściom zwodzony, sprytnie i bezczelnie oszukiwany, hypnozą i zbiorowemi obłędami zatruwany, zaś przez uczciwych przewódców swoich słabo i nieumiejętnie ratowany — naród polski jął się w ostatnich czasach rozpraszać, jak na prawdziwej pustyni pośród posuchy i posępnych poszumów samumu. W tej najgroźniejszej chwili rozbicia duchowego Dmowski nie zawahał się odejść daleko od ludzi dnia dzisiejszego, unieść wysoko nad sobą płonącą Chrobrych pochodnię i pod tym, tak jakoby nierealnym, symbolem rozpocząć pochód narodu ku Jutrzence szczęśliwej przyszłości. I znowu okiem artysty widzę go samotnego we współpracy z żywiołami raczej, a nie z ludźmi. Wierzę jednak, że jeśli nie on sam (bo praca zanosi się na czas długi), to dzieło jego zwycięży.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

POLSKA W OCZACH ZACHODU

III

(*Dokończenie*)

JEDYNĄ książką francuską z której jeszcze wychodzimy jako tako jest „Polska niegdyś i w dzisiejszej dobie“ dr. René Martiala (z przedmową Louis Marin'a). lekarza, który bywał tu w r. 1899 i przyjaźń dla nas z tych czasów jeszcze zachował. Teraz zachwyciła go Gdynia i pod wrażeniem jej wzrostu dał dość gruby tom pełen życzliwości, bez zarzutu. To jest omal unikat.

Ale René Martial jest człowiekiem prywatnym, w świecie intellektualnym nieznanym a natomiast znanym i wysoko cenionym jest dr. Réne Martel, docent Sorbony (obecnie w Strassburgu) który nas szpetnie oszkaradził w pt. „*Pologne et nous*“. I ten to objaw powtarza się stale. Wychwala nas w grubym tomie 503 strony liczącym nikomu nieznany p. L. Barot-Forliére (*Notre Soeur la Pologne*), ale przeciw nam występują pióra takich *grandes vedettes* piśmiennictwa jak Henri Beraud („*Le Petit Parisien*“) jak Tristan Bernard w „*Quotidienie*“ („*Les concessions prealables*“), jak wiceprezes „*Alliance Democratique*“ Reynaud (w „*La Revue des vivants*“) lub Duhamel czy Lecache, którzy świeżo występują przeciw nam w paryskim tygodniku ukraińskim. I to samo powtarza się i w Anglji i we Włoszech. Najpoważniejsza firma wydawnicza londyńska „Allen and Unwin“ wydaje już trzecią publikację przeciw nam, teraz Z. R. B. Hansena „*Polands Westward Trend*“ (Napór Polski na Zachód), podczas gdy w poczytnym miesięczniku Steeda „*The Review of Reviews*“ nie mogą już znaleść angielskiego pióra do pisania o Polsce a sumptem propagandy „O dziesięcioleciu Polski“ pisze p. Max Goldscheider („Goryński“) ten sam, który podczas wojny wydawał w Wiedniu judzący przeciw Entencie tygodnik „*Polen*“. W Italji obstalowany panegiryk na cześć „*Il Creatore della nuova Polonia*“ daje panna Ofelia Nowak, Polka, adoptowana przez znanego włoskiego bajkopisarza dla dzieci Colantiego, podczas gdy srogo przeciw nam występuje słynny Farinacci (we wstępie do książki o Litwie) lub twardo i bezlitośnie charakteryzują naszego wybrańca tak świetne pióra jak Attilo Tamaro lub Francesco Coppola.

Autor książki p. t. „*La Vivante Pologne*“ (1928) kapitan Karol Delvert bywał w Polsce jeszcze za rządów Grabskiego, „który doprowadził finanse polskie do porządku“. Postęp i rozwój widzi, zachwycony jest Lwowem, w Warszawie odczuwa tchnienie Wschodu. Rażą go rojowiska żydów, razi nędza, razi ludność Wilna tępa, niemrawa, smutna, ociężała. Tu i owdzie przypomina mu się „Afryka Północna“, oburzony na to. że mieszkańcy..., z których wielu jeszcze nosy obciera paluchami... tyle piją i piją i to tyle wina... francuskiego!

Opilstwo zresztą razi wszystkich etranżerów, którzy szczególnie wpadają w pasję obserwując *cenacle* oficerskie.

Nie będziemy tu cytowali ustępów z dwóch książek majora Jean Renauda pt. „*Les Loups dans la Steppe*“ i „*L'Homme ou Loup*“. Czegoś podobnego nie napisał o nas nigdy żaden Prusak, żaden hakatystyczny czy żydowski najemnik. To są effuzje furjata, który na serjo dostał manji prześladowczej na punkcie Polaków, dyszy nienawiścią i wprost szaleje w obłędzie odrazy. Major Renaurd, który dłuższy czas przebywał w Polsce, nie zostawił na nas suchej nitki. Jego obrazki z życia wojskowości polskiej są bo muszą być chyba cynicznem, opętańczem oszczerstwem rozwścieczonego psychopaty.

W każdym jednak razie te broszury istnieją, są drukowane i były rozsyłane i po Polsce i po Francji. Czegoś podobnego niema w całej publicystyce o żadnym narodzie, nigdzie. Ton w jakim ten chytry lis, (który w Warszawie przez długie lata skrywał się ze swoją idjosynkrazją) opisuje polskich „wilków“, uwalnia całkowicie od cytowania kompletnego warjata. Niemniej przeto, ponieważ paskudztwa te dużo nam zaszkodziły w wojskowych kołach francuskich, należy zastanowić się jak mógł wytworzyć się splot stosunków i sytuacyj, któryby francuskiego oficera, w Polsce jakiś czas bawiącego, mógł doprowadzić do takiego stanu ducha, do takiej fazy klinicznej wprost obsessji. Bądź co bądź ani o Prusakach z ery Wilhelma ani o Moskalach z ery ostatniego caratu takich „dokumentów“, francuskim językiem pisanych jednak nie było.

Twardo osądza nas w „*Nouvelle Revue Française*“ (paźdź. 1927) powieściopisarz Luc Durtain. Dzikie pustynie i bagna i lasy. Brudne miasta. Żydy. Ludzie tępi, ospali. Błoto pamiętające „czasy Merowingów“. Ta pogarda dla azjatyzmu w Polsce jest odskocznią dla jednego wielkiego hymnu na cześć kultury niemieckiej.

Etchegoyena nie będziemy tu przypominali, gdyż *opus* tego pana zakochanego w Litwince a potem w Litwinach, w prasie polskiej spotkało się z zasłużonem przyjęciem. Odpowiednikiem jego paszkwilu jest obecnie świeżo wydana włoska publikacja „*Lithuania Martire*“ Constantino Camoglio z wstępem ni mniej ni więcej tylko słynnego Farinacciego (*duce di Cremona*). W przedmowie tej Farinacci odsądza nas od czci i wiary jako imperjalistów, on, który tyle razy podżegał *Il Duce* do wojny zanim nie poszedł w czasową odstawkę.

Nawiasowo mówiąc ostentacyjnie prolitewskie jest np. sprawozdanie z dotychczasowej działalności Ligi Narodów wydane przez jej sekretarjat pt. „*La Société des Nations... Son Oeuvre* 1920—1926“ a więc dzieło które powinno być bezwzględnie objektywne. Wogóle nie trzeba zatajać, ze Litwini mimo ekstrawagancyj p. Waldemarasa stają się w intelektualnych i literackich sferach Zachodu w dość szybkiem tempie narodem tak sentymentalnie faworyzowanym jakim myśmy bywali niegdyś podczas gdy do Polski obecnej europejski zachodni świat intelektualny odnosi się coraz to chłodniej.

Dość nieprzyjemnie wyszliśmy na wizycie francuskiego wojażera do Rosji p. Beraud, który nas potem w „*Petit Parisien*“ opisał jako smętną i ponurą despocję. Tak samo smętek, posępność i nastroje niewolników zrezygnowanych widzą w nas bracia Tharaud w powieści „*L'Ombre de la Croix*“. Smętny obraz dzisiejszej Polski dał także Robert Tourly redaktor poczytnego, wskroś żydowskiego „*Paris Soir*“. Był przedtem dłużej w Berlinie, w Gdańsku, był w Prusach Wschodnich gościem prezesów regencji a co widział zjadł i wypił, to wszystko w „*Le Conflit de demain*“ w broszurze u Delpeuche'a wydanej opisał. Szeroko i obszernie obsmarowuje żelazny *régime* wojskowej dyktatury w Polsce i wybryki soldateski ten francuski wielbiciel porządków pruskich, nie dostrzegający

daltomicznie ni Reichswehry ni tysiąca odwetowych organizacyj wojskowych niemieckich. Razi go i oburza polskie pijaństwo, kłótliwość, brud, pogarda wody, lekceważenie hygieny. U Niemców widzi tylko wszystko co dobre, w Polsce strony najciemniejsze. Służy wiernie idei *rapprochement*, ale w słowach i inwektywach jednak znać pewne hamowanie się i umiar. Jak na dziennikarza ze „*Soir*“ i to wiele.

Niepohamowany natomiast jest uczony anonym, którzy rzekomo dłużej przebywał w Polsce (w Krakowie?) i w naukowem popularnem czasopismie francuskiem w „*L'Esprit*“ w swej „*Voyage au Pays des Polonais*“ daje olbrzymią wiązankę cuchnącego zielska z której kilka kwiatków wybieramy:

„Polacy — jakaż to mizerna rasa, jak mali ludzie, jakże rozpaczliwa meskinerja we wszystkiem — w dobrem, w złem, w obojetnem! Brak rozmachu nawet w wytworach materjalnych: ogrody publiczne śmiesznie ciasne, pomniki o lilipucich rozmiarach. Wszystko, czego dokonają Polacy, wykonane pod tchnieniem ukrywanej nienawiści, która im paraliżuje dłonie i krzywi idee. A ponad takiemi krajobrazami — oni, o twarzach gnomów zadowolonych z siebie samych. I rządzą tak, jak rządzi niewolnik, dorwawszy się władzy“.

Zdeprawowanie serc, spaczenie umysłów, potworne spodlenie dusz, kabotynizm najwyższego stopnia — wszystko to zniekształca Polaków, odbierając im poprostu cechy istotnego człowieczeństwa. Pierwszym ich postulatem jest elegancja, wykwintna postawa, t. zw. takt, zręczny gest, jednem słowem powierzchowność, forma, maniery.

„W duszach polskich niema miejsca ani dla rozpaczy, ani dla protestów gwałtownych, ani dla satanizmu na modłę rosyjską; gdy toczy się walka o prawdę, nikt nie oświadcza się za nią i nikt przeciw niej: pustka zupełna i nicość, obrzydliwa podłość ubrana w gesty brutalne wobec słabych, w gesty służalcze wobec silnych.... A wówczas, co za słodycz! albo co za tępe okrucieństwo!... O nie napróżno byli Polacy niewolnikami. Nieopatrznie oswobodzono ich z łańcuchów, ale ślady wyryte przez te łańcuchy pozostawiły niezatarte ślady!“.

„Uprzejmość Polaków słynie na świat cały! Specyficzna to uprzejmość: obleśne uśmiechy i owo „proszę szanownego pana“, które ze świstem wydobywa się z ich ust niby jakaś ciecz cuchnąca... A gdy uprzejmość zmienia się w pochlebstwo, to osiąga niezrównane efekty. Żaden z narodów nie przewyższa Poloków w sztuce podlizywania się możnym i bogatym.

„Pięknie prezentujują się intelektualiści polscy — warto ich oglądać... W nich właśnie dopatrzyć się można wstrętnego jądra polskiej duszy. Oni to są odpowiedzialni za całość“... i t. d.

Wśród jakich to intelektualistów obracał się uczony „B. Bz.“ z pisma „*L'Esprit*“ wartoby dociec i wogóle kto zacz; w artykule natrąca o środowiskach profesorskich *Almae Matris*. Uczony francuz widocznie zepsuł sobie żołądek pod Wawelem, a złe humory rzuciły mu się na mózg.

Jak to poznać z tego pobieżnego a niekompletnego wcale przeglądu, nasi najserdeczniejsi superlatywami nas nie rozgrymaszają. Zdaje się, że żadnego chyba aljanta żaden aljant jeszcze nigdzie na tak surowym ogniu żywcem nie piekł. Zdaje się, że siedząc na takiem cenzurowanem nigdybyśmy jednak nie odgadli, kto to „obchodząc różne kraje i obyczaje“ o naszym kraju i obyczajach wydaje takie werdykta i *vere dicta... dicta acerba*.

Czyżby się zatem sprawdzały ostrzegalne wróżby Amiela z r. 1848, który twierdził że gdyby Francuzi poznawali Polaków na miejscu w ich kraju... „złudzenia nie trwałyby długo“? Czyż więc może nie lepiej, po takich doświadczeniach z turystami i peregrynantami z najbliższej, dziedzicznie zaprzyjaźnionej nacji nie zbyt życzyć sobie *globtrotterów* angielskich w Polsce i intensywniejszego zainteresowania się nami... przynajmniej na przeciąg żywota obecnego pokolenia i obecnego *regime*?

O tem zaś, aby, jak zapewniają prof. Strowski i dr. T. Żeleński w tych warunkach i przy tych danych zapanowała we Francji jakaś moda na polską literaturę jako zwierciadło umiłowanej aljanckiej nacji, o tem niema mowy. W zestawieniu a egzotycznością, dynamiką, głębią i tragicznością rosjan za mało przedstawiamy interesu i dla konsumentów i producentów literatury. Należy wątpić, czy nowy tygodnik zafundowany dla dopingu zbliżenia i przyjaźni, którego redakcję powierzono znów p. T. Landowskiemu cokolwiek zmieni na lepsze i należy ubolewać, że nawet w takiej „*Collection Panoramas*“ literackich, nakładem „*Kra*“ pod redakcją Cremieuxa wydawanych, gdzie kolejno dzieje wszystkich literatur wydają, dotychczas nie znalazło się miejsce na dzieje naszego piśmiennictwa. Boga chwalmy, że „*Petit Larousse*“ już nas jako państwo po pięcioletnim bojkocie uwzględnia, że Martin du Garde poświęca na 20 listów o literaturze czeskiej przynajmniej dwa listy polskiej, skoro np. takie włoskie faszystowskie „*La Fiera Letteraria*“ (*pendant* do naszych „W. Literackich“) dając stale rubrykę „*Meridiano di Mosca*“ o piśmiennictwie bolszewickiem, nas nadal prawie przemilcza.

Jeszcze więcej irytującem bowiem jest przemilczanie nas. W takiej książce jak Henri Massisa: „*Defense de l'Occident*“ (nagrodzonej *Prix Balzac*), gdzie jest tyle gadaniny historjozoficznej o niebezpieczeństwie azjatyckiem, o niezjednoliceniu Europy, o „przedmurzu Chrześcijaństwa“ i t. p. i gdzie, obok wzmianeczki o Sobieskim, o tem wszystkiem, jak polskość, polski chłop, polski lud katolicki zasłużył się jako wał potężny przed zalewem komunistycznym i słowa nie znajdzie (*prix Balzac!*). Równie też nieprzyjemne jest przeoczenie nas przez jednego z wybitnych dyplomatów francuskich. Były poseł francuski w różnych stolicach Azji p. Paul Morand w swoich „Wróżbach“ o przyszłej Europie z r. 1958 wróżbach, które wywołały pewną sensację w prasie paryskiej, o nas nie daje ani słowa.

Najnierozumniejszy atoli i najbardziej upokarzający dla naszej ambicji jest jeszcze inny typ odnoszenia się do nas, który zarezerwowaliśmy sobie na koniec tego *dossier*. Uwidocznia się on w sztuce Anglika Reginalda Berkley: „*Listeners*“ i w niedokończonej komedji de Flersa i pana Wienera (de Croisseta“). Jest to łączenie faktu powstania nowego państwa polskiego po wieku niewoli, katorgi i hekatombach powstań z frywolnym i trzpiotowatym motywem flirtującej Polki lub wogóle z motywem „*collage*“ i wesołego politycznego cudzołóstwa. W angielskiej sztuce egzystencja Polski jako państwa ratowana jest przez miłostki polskiej księżniczki, kokietującej głupiutkiego dyplomatycznego lorda. W niedokończonej komedji de Flersa (z pierwszym skończonym aktem) cała afera komedji obraca się koło protegującej Sarmację pani Ivonny Grandier, której w miarę jej rosnącej łaskawości „dyrektor spraw europejskich“ wielki dyplomata paryski rozszerza terytorjum Sarmacji figuralnie na czarnej tablicy. Data akcji: Lipiec, rok 1928. W drukującej pośmiertny fragment „*Revue des deux Mondes*“ pan Wiener („de Croisset“) pozwolił sobie na taki komentarz do niedokończonego dzieła:

„W ciągu aktu Sarmacja stała się tak potężną, że zaczęła znowu zagrażać równowadze enropejskiej, ale na szczęście dla pokoju świata i serca, minister ów ostatni dowiedział się, że Ivonna zamiast do swojej ciotki baronowej udała się na mniej familijną herbatkę ze Sarmatą. Oburzony tedy przypada do czarnej tablicy i przelotne państwo starte gąbką przybrało znów postać zduszoną“...

„Przelotne państwo“. Nie jest to trafne, ale raczej trefne ze strony p. Wienera określenie sojuszniczego kraju. Pisma polskie, które treść: „Wytworniś genewskich“ w sezonie kanikularnym poda-

wały, unosząc się nad werwą szampańską drukowanego w *„R. d. d. M.“* aktu, nie raczyły nieco poważniej zastanowić się ni nad tem aroganckiem powiedzonkiem sparyzjanizowanego wiedeńskiego semity ni nad tym całym pomysłem komedjowym, objektywnie może przepysznym, ale degradującym nas jednak do poziomu bałkańskich „Sardanji“, które w myśl hasła *„arriver par les femmes“* rosną w potencje.

Jak na stosunek do „mocarstwa“ jest to zbyt lekkie i frywolne. Carskiej Rosji w tak wesołkowatem świetle nawet tak genialna spółka nie ośmieliłaby się ongiś Paryżowi sprezentować. Takie koncepty winny przychodzić do głowy chyba w związku z... „Costaricą“. Znacznie mniejsze powojenne państwo... *„Tscheco-Slowacquie“* nie ośmielonoby się jednak persyflować w tak dwuznacznem oświetleniu. Można nad tym faktem oczywiście przejść lekką stopą do polskiego porządku czy „nieporządeczku“ dziennego, ale wolno się też zamyśleć nad możliwościami takiej parodji... To też żywiąc najzbożniejszy kult dla tych dwóch prześwietnych pisarzy, nie można zdecydować się na jedno z dwojga: czy żałować, że sztuka niedokończona, czy nie żałować? Takie bowiem odniesienie się wesołe do ciężko poważnego i brzemiennego może i burzami dziejowemi problematu polskich granic dla nich i dla bulwarowego Paryża igraszka („nam chodzi o życie“), daleko jest przykrzejsze i cięższe do strawienia od nawet najobelżywszych inwektyw i wymysłów choćby tysiąca Renaurdów, Durtainów, Bibescó,w i innych przelotnych ptaków niebieskich...

*

Przechodzimy do *resumé*. Dobrze nie jest *Under Western Eyes* w oczach Zachodu, który nam w odzyskaniu niepodległości i zjednoczenia pomógł, który nam w Wersalu granice pierwsze wytyczył, nie jesteśmy tak pięknie notowani, jakbyśmy tego sobie życzyli, nie jesteśmy jeszcze m o r a l n i e a k r e d y t o w a n i. Na takim mizernym „żelaznym kapitale“ respektu i uznania, wielkiej przyszłości budowaćby nie można. Istnieje zbyt wielka dysproporcja między rolą, jaką my sobie w personelu i scenarjuszu historycznym przeznaczamy i do jakiej rościmy słuszne prawo a opinją jaka o nas i naszym charakterze, naszej obyczajowości i naszym żywocie publicznym wyrobiła się przez to pierwsze dziesięciolecie na Zachodzie. Mogą nas mężowie stanu i panowie prasy raz po raz zachwalać i wychwalać, po plecach klepać zachęcająco (*gratis* lub nie *gratis*) i o mocarstwowej przyszłości w uszy czule szeptać, to jednak mocarstwo jak i państwo też nie może być potężnem mocarstwem, o ile nie zdołamy zdobyć sobie szacunku i sympatji samych społeczeństw, samych narodów zachodnich, państwowość naszą gwarantujących i ochraniających. Tak jak dziś rzeczy stoją i stosunki międzynarodowe ułożyły się, prawdę zwięźle mówiąc, nie było dotychczas i niema narodu, o którymby w tak krótkim czasie albo tak „wymownie milczano“ albo tyle niewymownie złych sądów wydano. *Curiosum* polega na tem, że dyskwalifikowanie, dyffamowanie, dyskredytowanie odbywa się kosztem przyjaciół, sojuszników, aljantów, podczas kiedy dotychczas tak surowo się nie osądzało nawet przeciwników, wrogów, nieprzyjaciół. Prusacy i Niemcy pod tym względem są dzisiaj tak uprzywilejowani, że nam przypada raczej im... zazdrościć. Jeżeli nie jesteśmy jeszcze tem, czem oni dawniej byli w świecie *„die bestgehasste Nation“* dla sąsiadów i dla wrogów, to w każdym razie zaraz po Sowietach, skazanych na kwarantannę idziemy już my z naszą moralną *„insplendid isolation“* w społeczeństwach Zachodu, podczas gdy zdeprawowana gadzinowemi funduszami nasza prasa brukowa okłamuje świadomie polską opinję w Polsce, przedstawiając Kopciuszka jako Benjaminka.

W następnych dziesięciu latach muszą pod tym względem zajść zasadnicze, najgłębiej w rzeczywistości zakotwiczone zmiany. Z taką opinją w oczach Zachodu żadne mocarstwo ostaćby się trwale nie mogło. Na wiarę w cezaryczną maksymę starorzymską *oderint dum metuant* my chyba pozwolić sobie nie możemy, skoro nawet można Wielka Brytanja morzami oblana pozwolićby sobie nie mogła.

Inna natomiast starorzymska maxyma *iustitia est fundamentum regnorum* wejść nam winna w krew i w żyły *Iustitia* to znaczy sprawiedliwość musi być wymierzona przedewszystkiem względem siebie samych, względem swoich, wzgledem tych, którym połowa zasługi za niepodległość i zjednolicenie państwa polskiego przypada.

Dopóki nie będzie ekspiacji za domowe względem swoich przewinienia, dopóty w oczach Zachodu będziemy uchodzili za takich, jakich nas odmalowywano w pierwszych dziesięciu latach. Będą się z nami liczyli w Genewie, będą nas chwalili za Gdynię, będą nam pożyczali dolary i będą nasze bogactwa za dolary wykupywali, ale traktować nas będą jako wielki posterunek żandarmerji, pilnujący na wschodzie kontrabandy komunistycznej. I nic więcej. Bez szacunku i miłości społeczeństw Zachodnich nie staniemy się tem, czem dla Zachodu stała się w r. 1914-tym bohaterska Belgja. Wady mamy, błędy i plamy w charakterze, zarówno dawne jak nowe, może większe od innych, a możliwe, że mniejsze. Błota bywa u nas może i więcej niż gdzieindziej. Ale żeby tylko tego „błota“ ciągle wszyscy cudzoziemcy nie dostrzegali, nie wypominali nam i w oczy niem nie rzucali, trzeba je usuwać w następnych latach dziesięciu, i to nietylko z Pińszczyzny i z miast, które cudzoziemcy nawiedzają, ale także z życia publicznego.

Pierwsze dziesięć lat można było to „błoto“ znosić, ciężko znosić, udając że się nie widzi i nie czyta i nie wie. Dłużej się nie da.

ADOLF NOWACZYŃSKI

UCZTA KOZŁA A SWIĘTO DZIADÓW

(Ze studjów nad genezą „DZIADÓW“ kowieńsko-wileńskich).

I

GDYBY chodziło o krótkie, treściwe ujęcie i ukazanie różnicy, jaka zachodzi między pierwotną (z r. 1820 zapewne) a ostateczną (z r. 1823) koncepcją „Dziadów“ cz. II, trudnoby o wymowniejszą i bardziej naoczną ilustrację niż ta, jaką daje zestawienie obu zachowanych redakcyj Przedmowy prozaicznej, poprzedzającej część tę w druku.

Z wymienionych redakcyj da się ustalić chronologicznie całkowicie tylko druga: przysłał ją poeta (oczywiście zaraz po napisaniu, bo drukarz naglił) Czeczotowi z Kowna w liście dn. 5/17 lutego 1823 r.[1]) razem ze świeżo dopisanemi wstawkami do tekstu cz. II, a zawierającemi nową redakcję zaklęć Guślarza.

[1]) „Koresp. Filom.“, V, 36—38.

Natomiast mniej jest pewne, z jakiego czasu pochodzić może redakcja pierwsza; przypuszczać należy, że jest niewiele co starsza, że ją poeta napisał przy sposobności poprawiania tej części utworu w dawnej kopji Czeczota, a więc między listopadem 1822 r. a końcem stycznia 1823. Według Korespondencji Filomatów Czeczot dn. 26.XI. (8.XII) 1822 r. po raz pierwszy upomina się o zwrot kopji swojej poprawionej, a zaś dn. 30.I. (11.II.) r. n. już mu ją Mickiewicz wysłał, wspominając przytem wyraźnie, że jej towarzyszy owa przedmowa w pierwotnej redakcji.[2]).

Ta bliskość w czasie powstania obu redakcyj nie może nas zbijać z tropu przy dostrzeganiu różnic treści, dzielących je, bo wiemy, że wogóle przeistoczenie koncepcyj „Dziadów" cz. II, także w części poetyckiej, dokonało się nagle, właśnie po dniu 30.I./11.II.1823 r., t. zn. już po wysłaniu do Wilna tekstu jej w kopji Czeczota, małoco poprawionej. Wyrazem nowej koncepcji, pochwyconej w nagłem dojrzeniu i przeprowadzonej w ciągu sześciu zaledwie dni, stały się owe, niespodzianie dosłane, wstawki z zaklęciami Guślarza.

Zaznaczymy zaraz i ten jeszcze szczegół — nie bez znaczenia, jak się pokaże w dalszym ciągu, że zarówno owe, tyle doniosłe, dodatki do tekstu II cz. „Dziadów", jak i druga redakcja Przedmowy, powstają równocześnie z wykończeniem „Grażyny". „Kończ jak możesz, powieść, a przynajmniej popraw „Dziady" — pisze poecie Czeczot dn. 26.VI./7.XII.1822 r.[3])

Faktem dla nas tutaj wystarczającym jest, że pierwsza redakcja Przedmowy, dostosowana była do pierwszego brzmienia „Dziadów" cz. II, znanego nam z kopji Czeczota, natomiast redakcja druga jest wykładnikiem pogłębionej, ostatecznej koncepcji utworu. Owa redakcja pierwsza jest bardzo krótka, składa się właściwie z trzech zaledwie zdań, informujących lakonicznie, że nazwa Dziady oznacza obrzęd za dusze zmarłych, że pomysł ogłaszanego poematu wzięty został ze śpiewów ludowych, a części ogłoszone są ułamkami z większej całości. Oto i cała treść Przedmowy.

Redakcja jej druga jest w treści znacznie bogatsza. Znalazło w niej wyraz nietylko osobiste uczuciowe nastawienie poety wobec obrzędu, nie tylko opis przebiegu i wykład jego głębszego, moralno-religijnego sensu — przyczem zaznaczono niechętny stosunek duchowieństwa i ziemiaństwa do tych praktyk—ale ponadto podano tam zasiąg terytorjalny obrzędu, jego historyczne i geograficzne odgałęzienia, wreszcie jakby próbę rodowego powiązania go z odległemi przejawami wierzeniowemi. Innemi słowy, dostały się do tej redakcji elementy treści nietylko takie, które poeta mógł był zaczerpnąć z bezpośredniej obserwacji, ale i takie, które mógł powziąć dopiero z osobnych poszukiwań, ze zdobytych zasobów erudycji. Objaśnienia tego rodzaju, zbędne jeszcze przy pierwotnej redakcji utworu, naraz ukazały się potrzebne. Najwidoczniej w redakcji poematu drugiej, rozszerzonej, narosły tego rodzaju pokłady treści, że wymagały takich wyjaśnień wstępnych. Cóż się stało między temi obiema redakcjami?

Stało się mianowicie to, że poeta, zatrzymawszy uwagę swą na pewnym zaobserwowanym objawie folkloru białoruskiego, czy litewskiego, starał się przez osobne studja zgłębić jego znaczenie i odszukać zakorzenienia jego w przeszłości. Studja musiały być rozległe, więc trwać dość długo, rozmiaru ich nie możemy nawet w pełni ogarnąć; rezultaty ich skontrolować można dopiero dzisiaj. Dzisiaj n. p. wiemy dopiero od folklorystów europejskich, że obrzęd Dziadów utrzymał się istotnie „dotąd po wyspach Nowego Świata". Mickiewicz wiedział to już przed stu laty; a komentatorzy „Dziadów" nie wskazali jeszcze dotąd ówczesnego źródła tej jego wiadomści. Otóż te rozległe swe studja zużytkował poeta zarówno w tekście utworu (według nich np. wzbogacił demonologję, rozwiniętą w obrzędach Guślarza), jak i właśnie w drugiej redakcji Przedmowy, gdzie pozaznaczał odległe związki znaczeniowe obrzędów, jak wreszcie nawet w przypisach prozaicznych do „Grażyny".

Z tych szczegółów erudycyjnych Przedmowy zatrzyma nas tutaj dłużej nieco jeden, szczególnie mało wyjaśniony dotąd w literaturze krytycznej. Pisze tam Mickiewicz o „Dziadach": „Uroczystość ta początkiem swoim zasięga czasów pogańskich i zwała się niegdyś u c z t ą k o z ł a, na której przewodniczył Koźlarz, Huslar, Guślarz, razem kapłan i poeta." Zdanie to nastręcza pewną trudność i wymaga koniecznie objaśnienia. Powiedzieć o tem twierdzeniu, że poeta nawiązuje tutaj do rodowodu greckiej tragedji, że formę dramatyczną obrzędu, utrzymaną jako zabytek w praktykach ludu swoich stron rodzinnych, usiłuje wywieść z kultu zmarłych, przejawionego przed wiekami w pieśniach obrzędowych, śpiewanych przez lud ateński przy ofierze kozła — podobnie jak w r. 1902 wywodził tragedję tę Em. Reisch — powiedzieć tak za T. Sinką[1]), to znaczy: wyjaśnić jeszcze niewiele, to znaczy: stwierdzić u Mickiewicza fakt pewnej interpretacji, nie dotykając zagadnienia, jak i dlaczego do niej doszło, nie tłumacząc zwłaszcza, skąd tutaj utożsamienie takich dwóch obrzędów.

Zaznaczamy tu przedewszystkiem, ze na interpretacji tej Mickiewiczowi najwidoczniej bardzo zależało; szukał dla niej uzasadnień i nie cofał się nawet przed dość rzekomemi. Argumentem wątpliwej mocy jest bowiem wywiedziona tutaj przez poetę etymologja[2]). Nazwa „guślarz" nie ma przecież nic wspólnego z „koźlarzem"; Brückner wywodzi ją od wyrazu „gądzić" w znaczeniu „opowiadać", stoi ona może w związku z „gęśl", „husla", nazwą instrumentu muzycznego, który już wówczas uznany był za pradawny i charakterystyczny właśnie dla słowian. Kiedy w roku 1827 Prosper Mérimée wydawał swój apokryficzny zbiór pieśni nibyto staro-illiryjskich, nazwał go „*La Guzla*", t. j. właśnie „Gęśl". Etymologja guślarza z koźlarza prawdopodobnie już w roku 1823 uchodzić mogła pod względem gramatycznym za ryzykowną. Mickiewicz jednak ryzykuje, posługuje się nią jako *sui generis* argumentem.

Skąd jednakże wziął się tutaj ten kozieł i uczta kozła? Czy tylko przez wzgląd na dionizyjskie Anthesterja, starogreckie zaduszki, połączone z żałobnemi zawodzeniami koźlego korowodu Dionyzosa? Czy studja poety w tym wypadku miały jeden tylko kierunek, mianowicie ku starożytnościom religijnym i teatralnym dawnej Grecji? Nie można przeoczyć, że oba obrzędy nie pokrywają się z sobą całkowicie. Poeta mówi tu przecież o u c z c i e kozła, a nie o p o c h o d z i e. Otóż powiedzieć trzeba, że główny kierunek owych studjów Mickiewicza był właśnie inny: Poeta szukał wyjaśnienia, frapującego go wypadku w dziedzinie staro-

[2]) Nazywa ją tam: „dewizą... z okładki";jakoż rzeczywiście autograf jej mieści się na drugiej, okładkowej stronicy zachowanego rękopisu.

[3]) Koresp. Filom. IV. 359.

[1]) Sinko T.: „Do źródeł tragedji". Kraków 1913, str. 31.

[2]) Z autorów rejestrujących informacje o Dziadach podaje etymologję tę jeden tylko E. Tyszkiewicz („Opisanie powiatu Borysowskiego". Wilno 1847, str. 378), ale oczywiście przejął on ją od Mickiewicza.

żytności nie antycznych bynajmniej, ale w pierwszym rzędzie starolitewskich i staropruskich. Tutaj to — jak to widać choćby z przypisów historycznych do „Grażyny“ — przeprowadził był poeta badania źródłowe bardzo rozległe. Przez długi poczet kronik i opracowań, głównie niemieckich, przebijał się on ku pierwszym wiekom dziejów Litwy [1]). Myliłby się zaś, ktoby sądził, że studja te były dorywcze i przygodne, że oddawał się im poeta dopiero przygotowując się do „Grażyny“. Oczywiście, że praca w bogatej bibljotece szczorsowskiej z r. 1822 przyniosła tu plony największe, ale już z recenzji „Jagiellonidy“ (1818) widać, że młodemu studentowi studja nad dziejami dawnej Litwy nie były nowością [2]).

Interesowały zaś Mickiewicza w tych dziejach nietyle wydarzenia polityczne, ile właśnie rysy obyczajowe, szczegóły życia domowego i publicznego stroju, uzbrojenia, zwyczajów towarzyskich, wierzeń, obrzędów i t. p., słowem świadectwa kultury materjalnej i duchowej dawnych wieków. Wiele tej zamierzchłej obyczajowości zużytkował też w „Grażynie“ (szczegóły o wężu domowym, o ceremonji palenia zwłok i t. d.). Równocześnie zaś ze szczególną pilnością szukał starych zabytków poetyckich, zbierał świadectwa i ślady pierwotnej rodzimej pieśni, skrzętnie notował najlżejsze choćby wzmianki na ten temat spotkane u kronikarzy. Zaciekawienie to i pasja poety-poszukiwacza nie dziwią nas oczywiście w epoce sławy Osjana, Słowa o Pułku Igora, pieśni o Libuszy.

Te poszukiwania Mickiewicza nie były całkowicie bezowocne. Znalazł on rzeczywiście, nie pieśni — rzecz jasna — ale świadectwa o dawnych litewskich śpiewach epickich. Jednemu z takich świadectw, wzmiance w kronice Wincentego Moguntczyka z XIV w., zawdzięczamy wszak w „Konradzie Wallenrodzie“ scenerję uczty krzyżackiej z powieścią wajdeloty. Z poszukiwań tych nabrał poeta przeświadczenia o istnieniu starolitewskiej ludowej poezji bohaterskiej i o jej przypuszczalnie wcale wysokim stopniu udoskonalenia. Z tezą taką wystąpił był i takie właśnie przeświadczenie ogłosił już w roku 1808 Xawery Bohusz w rozprawie „O początkach narodu i języka litewskiego“. Mickiewicz początkowo brał krytycznie jego wywody, motywowane co prawda dość słabo. Z czasem widocznie znikły te zastrzeżenia krytyczne. Owszem świadectwami i napomknieniami kronikarzy miał on sam podeprzeć owe kombinacje Bohusza. Nie dość tego, w ich to obronie odważył się wystąpić przeciwko sarkastycznemu sceptycyzmowi najwyższej naówczas powagi w tych sprawach, samego Lelewela. Pod jego to adresem skierował mianowicie poeta w jednym z przypisków „Grażyny“ zwrot następujący: „Nie powinny więc zdawać się śmiesznemi twierdzenia Kotzebuego i Bohusza, iż literatura litewska bogatą być musiała w poezje bohaterskie i historyczne, chociaż do naszych czasów małoco doszło w tym rodzaju“.

Otóż to właśnie studjum starożytności litewskich odbiło się także na zmienionej koncepcji „Dziadów“ cz. II. W szczególności ono to dostarczyło Mickiewiczowi wiadomości o staro-pruskiej i staro-litewskiej uczcie kozła. Informacji o tym obrzędzie zaczerpnął poeta z pierwszej ręki, bo od naocznego świadka z końca XV, czy początku w. XVI. Dominikanin gdański, Szymon Grunau, opowiada w swej „*Preussische Chronik*“ (ok. r. 1510), że kwestując po wsiach pruskich, stał się raz mimowoli uczestnikiem takiego obrzędu. Wszedłszy do jednej z chat, zastał tam tłumne zgromadzenie mężczyzn i kobiet; stary wieśniak, ich wajdelota, przemawiał właśnie po prusku do zebranych. Wejście zakonnika wywołało wielkie wzburzenie; tłum rzucił się na niepożądanego przybysza, chcąc go zamordować. Bogu dziękuję — opowiada kronikarz — że umiałem nieco po prusku i począłem ich błagać o życie, przysięgając, że uczynię wszystko, czego zażądają. A oni, usłyszawszy odemnie swą mowę, ucieszyli się i wołali: „*sta nossen rickie, nossen rickie*“ i kazali mi przysiąc w imię boga Perkuna, że nie powiem o niczem biskupowi. W ten sposób Grunau, jak widzimy nieżądny palmy męczeńskiej św. Wojciecha, umknął śmierci i został świadkiem obrzędu.

Wajdelota siedział na stołku tak wysoko, że dosięgał głową powały izby i stamtąd wygłaszał kazanie. Opowiadał zebranym najpierw o ich przodkach i ich czynach, potem zaś wykładał im Dziesięcioro Przykazań tak pięknie, jak się temu zakonnikowi słyszeć nie trafiło. („*Zum irsten er in do sagte von irem herkommen und was sie etwan gethon hetten. Dornoch or in vorzelte die X gebot gettis und werlich und ich sie bis auff dem tagk ny so schon hette gehort*“). Następnie wzięli kozła, błogosławili go i modlili się nad nim; potem zaś każdy z zebranych spowiadał się na osobności wajdelocie z występków przeciwko jego naukom. Wreszcie wajdelota odciął głowę kozła, a zebrani chwytali krew jego, by ją mieć dla chorego bydła. Mięso kozła piekli na ogniu, położywszy je na liściach dębowych. Zanim się upiekło, zebrani klękali przed wajdelotą, a ten ich brał za włosy i każdemu wymierzał tęgi raz, „*und ist ein absolutio*“. Poczem wszyscy rzucili się na wajdelotę, szarpali go, a on krzyczał potężnie; im silniejszy był krzyk, tem gruntowniej bóg odpuszczał grzechy. Nakoniec jedli i pili, bo nikt nie mógł trzeźwy wracać do domu. [4])

Tyle jest opowieści Grunaua, tak brzmi pierwsza co do wieku i szczegółowości relacja o staropruskiej uczcie kozła. Jest ona dla nas przez to także ważna, że Mickiewicz znał ją i streścił w przypiskach do „Grażyny“. Nie jest to wszelako jedyne świadectwo o obrzędzie, nawet nie jedyne, znane naszemu poecie. Opis Grunaua poznał on pośrednio, ze streszczenia, jakie znalazł u innego kronikarza niemieckiego, Łukasza Davida. (Jego „*Preussische Chronik*“, napisana w r. 1576, wyszła była stosunkowo świeżo w Królewcu 1812 r.). Dawid korzystał z Grunaua, ale relację jego objaśniał i rozszerzał wiadomościami, powziętemi skądinąd; w opisie uczty kozła znajdujemy więc u niego nowe szczegóły. Według niego należały do uczty jeszcze placki z mąki pszenicznej, które uczestnicy, siedzący po obu stronach długiego ogniska, przerzucali sobie z rąk do rąk przez płomień, dopóki się nie upiekły. I jeszcze jeden szczegół należy tu przytoczyć z tego kronikarza. Podaje on, że uczestnicy obrzędu wychodzą przed świtem poza wieś na pola, tam niosą kości, reszty ziarn, pieczywa, pozostałe z uczty, i zakopują je starannie w ziemię, poczem pilnują, żeby tego psy nie wygrzebały i nie pożarły; wreszcie rozchodzą się do domów, polecając się opiece wszechmocnego bóstwa. [4]) Zaznaczmy jeszcze, że opis Davida wszedł w tekst Kroniki Stryjkowskiego (1582) ze wszystkiemi szczegółami, niemal w tych samych słowach; z tegoż źródła korzystał także Kotzebue w swej, znanej Mickiewiczowi, „*Preussens aeltere Geschichte*“.

Wilno (Dok. n.) STANISŁAW PIGOŃ

[1]) Zestawił je W. Bruchnalski we wstępie do wydania „Grażyny“ (Lwów 1922); zestawienie wykazuje 20 zgórą pozycyj.

[2]) Na ich podstawie poeta z przekąsem mówi tam o anachronizmach Bohusza i Mostowskiej, z zakresu dziejów kultury starolitewskiej.

[4]) Wyd. M. Perlbach. Lipsk 1875, I, 91.

LIBERUM VETO

Lekceważenie niebezpieczeństwa. — Gdzie siła. — Zagadka Niemiec. — Polska wobec Europy. — Co my dajemy kulturze świata. — Echa naszego życia zagranicą. — Genjusz polski.

JEST jeden rys w charakterze polskim, który przechowuje się w nim z dziwną wytrwałością, pomimo niezliczonych doświadczeń, które powinnyby go zniszczyć a przynajmniej osłabić. Jest to lekceważenie niebezpieczeństwa. Historja nasza zapisała wiele wypadków, w których ta ślepota wobec grozy, to obojętne oczekiwanie druzgocącego gromu, to spokojne przypatrywanie się mieczowi zawieszonemu na włosku, tworzy zdumiewający obraz psychogicznej, politycznej i społecznej zagadki. Nieraz zdaje nam się, że patrzymy na ludzi, którzy zawiadomieni o zbliżaniu się bandytów, zasiadają wesoło do biesiady, lub spostrzegłszy ogień podłożony pod ich dom, wylewają z naczyń wszystką wodę i zasypują studnię, ażeby nie było czem gasić pożaru. Ileż to razy doniesienia o napadach tatarów, rusinów lub krzyżaków przodkowie nasi przyjmowali z takim spokojem, jak gdyby ich zawiadomiono o przybyciu wędrownego teatru. Król zbiera wojsko i wyrusza przeciw groźnemu wrogowi. W drodze albo nawet w przededniu bitwy szlachta oświadcza, że nie posunie się dalej i nie wystąpi do walki, jeżeli monarcha nie nada jej nowych przywilejów. Podczas tego targu nieprzyjaciel może napaść i rozgromić armję polską, ale to buntowników nie wzrusza i nie przeraża — lekceważa niebezpieczeństwo.

Tęż samą, najsilniejszemi pobudkami niewzruszoną obojętność widzimy obecnie. Codziennie prasa przynosi alarmujace wiadomości o dwustronnych zamiarach i przygotowaniach do napadu na Polskę, które grożą jej niewolą a nawet zagładą. Te ostrzeżenia jednak, chociaż głoszone przez ludzi nadających im wielką wagę, wywierają daleko mniejsze wrażenie, niż straszenie dzieci rzymskich „Hannibalem pode drzwiami" lub polskich „kominiarzem". „Sfery miarodajne" uśmiechają się drwiąco, a ogół uspakaja się przysłowiem, że „nie taki djabeł straszny, jak go malują", pomimo wspomnienia, że tak samo uspakajano się przed rozbiorami.

Nie będę tu powtarzał zestawień i obliczeń różnic między naszem pogotowiem zbrojnem a naszych najbliższch sąsiadów i wrogów, bo to już zrobiono wielokrotnie i bezskutecznie; zwrócę uwagę czytelników na porównanie w innych dziedzinach. Przedtem jednak muszę uprzedzić, iż pomimo wszystkich najbardziej udowodnionych i przekonywających twierdzeń, że bezpieczeństwo państw i narodów polega głównie na ilości żołnierzy, armat, karabinów, samolotów, okrętów i gazów trujących, że te czynniki zastosowane w przyszłej wojnie rozstrzygać będą wyłącznie o jej rezultatach: według mnie tę moc posiadają w wyższym stopniu inne siły, zbyt mało uwzględniane w przepowiedniach. Wszyscy ludzie, nie poprzestający na prostem przyjęciu do wiadomości faktów dokonanych, lecz starający się je zanalizować, musieli odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego Niemcy, ktore wywołały ostatnią, najstraszliwszą w dziejach wojnę, która sprowadziła śmierć lub kalectwo kilkunastu miljonów ludzi, które zniszczyły kilkanaście krajów, które zburzyły ich życie gospodarcze i doprowadziły je do nędzy, które — mówiąc językiem zwyczajnej a nie politycznej moralności — popełniły największą zbrodnię, jaką świat kiedykolwiek oglądał, dlaczego te Niemcy są dziś przedmiotem szacunku, przyjaźni, życzliwości i pomocy? Przecież gdyby myśli i uczucia narodów kulturalnych i przez nie pokrzywdzonych objawiły się naturalnie, ci złoczyńcy powinniby na długi czas być przedmiotem odrazy, nienawiści i klątwy. Dlaczego przebaczono im zbrodnię i zdjęto z nich hańbę? Odpowiedź prosta: dlatego że są wielką wartością kulturalną.

Ktoś niedawno zrobił słuszną uwagę, że odzyskawszy wolność, możemy zdobyć się na szczerość i mówienie o sobie prawdy. Dopóki byliśmy w niewoli, musieliśmy taić, milczeć, kłamać, bo tego wymagało nasze bezpieczeństwo. Obecnie ta potrzeba znikła, a następnie powstała przeciwna — potrzeba jasnego uświadomienia sobie, czem jesteśmy, co powinniśmy czynić i czego się strzedz.

A. Nowaczyński, jeden z najśmielszych, najszczerszych i najznakomitszych oświecicieli społeczeństwa nakreślił w „Myśli Narodowej" barwny, doskonale wycieniowany obraz „Polski w oczach Zachodu". Ogromnym zbiorem dowodów wykazał, że ów Zachód—Polskę lekceważy, że jej prawie nie widzi. Jest to fakt niewątpliwy, bardzo smutny i może groźniejszy, niż ubóstwo naszej żeglugi powietrznej i morskiej. Ażeby go zrozumieć i wytłumaczyć, postawmy sobie pytanie i dajmy wyraźną, szczerą, żadnemi ubocznemi względami niezaćmioną odpowiedź: co my, naród wielomiljonowy z bogatą przeszłością, z wysoką ambicją, z niepospolitem uzdolnieniem wnosimy obecnie do ogólnej kultury świata? Czyli, mówiąc szczegółowiej: jakie my jej dajemy zdobycze naukowe, twory sztuki, wynalazki, odkrycia, owoce pracy, nowe instytucje, oryginalne wzory życia, wogóle to wszystko, co stanowi kulturę i składa się na postęp ludzkości? Ażeby ta odpowiedź była ścisłą i sprawiedliwą, spójrzmy na siebie nie z wewnątrz, ale z zewnątrz, ze stanowiska cudzoziemca; co on u nas widzi i słyszy. Oczywiście nie może on widzieć i słyszeć prac i dążeń drobnych, zamkniętych w obrębie życia powszedniego, które go wcale nie interesują, obchodzą go jedynie fakty mające znaczenie i wagę dla ogólnej kultury ogólnej, będącej dobrem wszystkich narodów. W nauce, a zwłaszcza na niektórych jej polach pracujemy usilnie i owocnie, ale nasze plany nie przewyższają wartości dorobków zwyczajnych. Nie zdobywamy się ani na oryginalne teorje, ani na śmiałe pomysły, ani na epokowe wynalazki, a jeżeli do skarbca ogólnej wiedzy wpłynie coś od nas, to tylko groszaki. Sztuka nie ma obecnie między nami ani jednego genjusza, poezja jest świergotem drobnych ptaszków. Przemysł posuwa się po utartych drogach lub naśladuje wzory obce, nie wytwarza ani jednego produktu, któryby mógł nazwać się wyłącznie polskim i przewyższać wszystkie podobne zagraniczne. Handel, o ile jest swojskim, kręci się w kramarstwie i nieznanych już gdzieindziej formach przeżytkowych. Nie zorganizowaliśmy dotąd państwa według własnych potrzeb, budujemy je i rozbieramy niemal codzień. Maszyna administracyjna działa jak stary i zepsuty klekot, wydajność pracy minimalna, marnotrawstwo sił i środków w gospodarstwie publicznem i prywatnem maksymalne. Najgłośniejszem echem odbijają się w świecie nasze kłótnie partyjne i wrzaski służby bałwochwalczej. Upływają tygodnie, w których jedynym, dostrzegalnym w Europie objawem naszego życia publicznego jest wznoszeniem ołtarzów lub pręgierzów dla jakiegoś człowieka, żucie i wypluwanie jakiegoś nazwiska, poruszanie się wahadła opinji społecznej między wielkością i małością, między chwałą i zbrodnią tych samych osób i czynów. I my z takim udziałem w kulturze świata, z taką bezpłodnością duchową i ubóstwem materjalnem, z takim

jarmacznym wrzaskiem chcemy być wielkim narodem, potężnem państwem, budzącem szacunek w przyjaciołach a obawę we wrogach? I my sądzimy, że dość wymienić miljony naszego zaludnienia i tysiące naszego wojska, dość wysyłać jakiegoś ministra na zjazdy i spotkania z dyplomatami wielkich mocarstw, ażeby pozyskać sprzymierzeńców i przestraszyć nieprzyjaciół? Dziecinne złudzenie.

Byłoby ono źródłem beznadziejnej rozpaczy, gdybyśmy nie mieli uzasadnionego przekonania, że ta nasza małość jest tymczasowa, że w zamęcie powojennym zostaliśmy zredukowani w naszej wartości kulturalnej przez ludzi, którzy nie posiadają uzdolnień twórczych i poczucia odpowiedzialności, a którzy ten brak zastępują chorobliwą ambicją, chciwością władzy i ryzykiem hazardowych graczów. Polska ma dosyć genjuszu, ażeby być narodem wielkim i w kulturze świata czynnym. Ten jej genjusz może nieprędko, ale niezawodnie objawi się, gdy się wydobędzie z pod góry śmieci, zgnilizny, błota i kurzu, którą na niego nawaliła długa niewola i niszczące skutki wojny, zawsze rodzącej nikczemnienie charakterów, zbrukanie uczuć i rozstrój ogólnego życia. Ta wiara nie powinna nas opuszczać nawet wtedy, kiedy zgasną wszystkie jej promienie.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

Z ŻYCIA MASONERJI

POD TYTUŁEM „Polska a Liga Narodów“ znajdujemy w paryskiem „*Figaro*“ (z 30 paźdz.) artykuł wstępny pióra p. Saint-Aulaire. Tydzień przedtem w artykule „Bitwa nad Wisłą w 1920 roku“, poświęconym bardzo pochlebnej ocenie książki jen. Sikorskiego i jej autora, p. Saint-Aulaire zwracał uwagę na fakt, że to na drodze dawnych środków dyplomatycznych Francja pomogła Polsce w 1920 roku, podczas gdy wszystkie organizacje międzynarodowe okazały albo bezwład albo przyjaźń dla Sowietów, i przypominając, że na żądanie Francji, a nie Genewy, wyszły ze Spaa w dn. 11 i 18 lipca noty sprzymierzonych do Sowietów, podczas, gdy w Gdańsku, dzięki międzynarodowemu statutowi, jakim został obdarzony na rozkaz II-ej Międzynarodówki, za którą ukrywała się międzynarodówka III-ia, komunistyczna nawet czesi i belgowie odmówili wyładowywania materjału wojennego, przysłanego Polsce przez Francję. Co do Ligi Narodów, to w tym czasie, gdy bolszewicy parli na Warszawę, odbywała ona swe posiedzenie w Saint-Sebastien, gdzie p. Saint-Aulaire przebywał właśnie w tym czasie w charakterze posła przy rządzie hiszpańskim. Słowo „Polska“ nie została na tych posiedzeniach wymówiona, pomimo, że Polska była członkiem Ligi Narodów, która zagwarantowała jej całość i niepodległość, a nie były jeszcze członkiem Ligi Niemcy i mocarstwa nie nawiązały jeszcze były stosunków z Sowjetami, co dziś przesądza w tak znacznym stopniu sytuację na niekorzyść Polski.

Na skutek powyższego ustępu, dotyczącego Ligi Narodów, autor otrzymał szereg listów, pełnych wątpliwości i niedowierzania, co skłoniło go do sprecyzowania swoich poglądów poraz drugi. Autor nie wchodzi w przyczyny, dlaczego Liga Narodów, już ze względu na swój skład i rozwój (*de par les fatalites de son origine et de son évolution*) zdana jest w stosunku do Sowietów na impotencję słowną, co w tym wypadku — artykuł skrzy się cały od czysto francuskiego dowcipu—jest impotencją całkowitą. Rola Ligi Narodów wobec Polski była rolą Ponckiego Piłata, nie poruszyła ona nawet na jej korzyść palcem, chyba po to — by umyć ręce. Zyczenia swe zaś ograniczała do tego, aby katastrofa nastąpiła już po sesji, co zrzuciłoby z niej *odium* śmieszności z powodu jej milczenia. Stąd pośpiech w załatwianiu sprawy, którą się zajmowało (handel opium) i stąd jak najśpieszniejsza ucieczka z St.-Sebastian. Epizod ten, konkluduje autor, wyklucza na przyszłość wszelką możliwość pomocy z tej strony dla Polski, można zaś być pewnym, że w Berlinie i Moskwie wszystko zostało przygotowane, aby wykazać wobec „sumienia świata“ i... sumienia Genewy, że „zaczęli Polacy“. Jak zaczęli w 1914-ym roku Belgowie.

2. „*Juedische Presse Zentrale*“ z 2.XI.28 r., podkreśliwszy udział żydów w obchodzie dziesięciolecia Czechosłowacji, dodaje natychmiast, iż data ta schodzi się z upływem pięciolecia od założenia bloku Instytucji Kredytowych Żydowskich dla wschodniej Słowacji i Rusi Karpackiej, szesnastu autonomicznych instytucyj kredytowych żydowskich z centralą w Murkaczu.

3. „Gdyby ci dano do wyboru: panowanie nad prasą lub ponad wszystkiem innem, co wybrałbyś? — Wybrałbym prasę. — Dlaczego? — Bo mając prasę, miałbym i wszystko inne“. Tą żydowską anegdotą zaopatruje „*Veritas*“ wiadomość, podaną przez „*Völkischer Beobachter*“, że w Niemczech, gdzie na czele prasy pruskiej stał już żyd i gdzie żyd był już szefem prasy w ministerstwie spraw zagranicznych, obecnie trzeci Żyd został szefem prasy rządowej.

4. Żyd Magnus Hirszfeld, prowadzący kampanję o zniesieniu art. 175-go kodeksu karnego niemieckiego, potępiającego zbrodnię sodomską, wygłaszać ma obecnie odczyty w gimnazjach niemieckich.

M. WIERZBINA

WRAŻENIA Z WIELKOPOLSKI

Od jednego z działaczy narodowych z Wielkopolski otrzymujemy następujące uwagi:

JAKO Wielkopolanina zaciekawiają mnie wszelkie artykuły dotyczące Wielkopolski, Wielkopolan i całej b. dzielnicy pruskiej, pisane przez Polaków z innych dzielnic. Stanowią one jakby dokumenty różnorodności naszych dzielnic; są one też dowodami odmiennego wychowania Polaków w poszczególnych częściach Polski, a zarazem objawami większej lub mniejszej sympatji innych dzielnic do ziem zachodnich Rzeczypospolitej.

Niejedne z nich są życzliwe, pełne zrozumienia naszej odrębności psychicznej i naszego wychowania w czasie niewoli, drugie zaś są złośliwe, uszczypliwe, drwące, szydzące.

Wszelkie opinje — o ile pochodzą ze sfer narodowych — są zazwyczaj życzliwe i przychylne. Sądy zaś, jakie spotykamy w różnych pismach lewicowych, którym nie podoba się nasze zdecydowane stanowisko w sprawach narodowych, społecznych, politycznych, są nam naogół nieżyczliwe i często złośliwe.

Nie chcę jednak analizować poszczególnych sądów o nas, nie zamierzam też z niemi polemizować. Zamiarem moim jest jedynie wykazać, że nawet artykuły nam życzliwe, jak np. artykuł Bolesława Gaweckiego p. t. „Wrażenia z Wielkopolski“ (Myśl Narodowa z 15.X 1928 nr. 24) wywierają niekiedy wrażenie, jakoby Polacy z innych dzielnic uważali, że wszystko

to, co u nas jest odmienne od tego, co się spotyka w b. Kongresówce lub Galicji, jest niedobre, dziwne i nawet śmieszne.

Tak np. autor „Wrażeń z Wielkopolski" pisze między innemi: „Możnaby więc zapomnieć już o tem, co szczęśliwie minęło... gdyby... nie psuli czasem nastroju także — ludzie".

albo: „Ale w tych przedwojennych (ludziach) pozostała jeszcze jakaś ponurość i kanciastość... i t. d...."

albo: „te rażące nieraz cechy wielkopolan..."

albo: „z tych szorstkich, mrukliwych naogół, przy kieliszku i kuflu nieco zbyt hałaśliwych panów okazałej tuszy..." i t. d. i t. d.

Jestem daleki od tego, by z powyższych cytat wyciągać jakieś daleko idące wnioski, postaram się jednakowoż przedstawić, jak na te sprawy się zapatruję.

Razi to was, bracia z Warszawy, że wielkopolanie są nieufni, ponurzy, kanciaści, dalej szorstcy, mrukliwi, a czyście wy się zastanawiali nad powodem tej nieufności i szorstkości? Zapewne nie. Otóż mogę nawet zdradzić, że więcej od wielkopolan mrukliwi, ponurzy i nieufni są pomorzanie. Dlaczego? Odpowiedź na to daje nam historja ziem zachodnich.

Zwłaszcza historja Pomorza jest obfita w różnorodne wydarzenia dziejowe, w zmienność kolei politycznych. Pomorzanie w ciągu wieków mieli różnych władców, patrzyli na niejedną próbę niemiecką pokojowego „zawojowania" duszy polskiej. Pomorzanie nasi mają bogate doświadczenie i nauczyli się patrzeć na wszystko krytycznie. Stali się nieufni, mrukliwi, ba, nawet szorstcy. Właśnie ta nieufność i szorstkość względem niemców sprawiła, że Polska posiada Pomorze i dostęp do morza. Inaczej pomorzanie już dawno byliby niemcami. Wyrokiem boskim Pomorze i cała b. dzielnica pruska wróciły do macierzy. Chcecie teraz, by ten wielkopolanin lub pomorzanin odrzucił nagle to, co jest cechą jego charakteru, chcecie by się szybko zmienił. Przychodzili tu do nas w latach ostatnich różni fałszywi prorocy i na nich oszukali się bracia z Wielkopolski i Pomorza i powiedzieli sobie: „Nikomu ufać nie można. Jesteśmy tak dobrze Polakami, jak wszyscy inni, lecz patrzmy swych śmieci, bo znów się „sparzymy"! Dlatego ta nieufność. Przyszłe pokolenie już będzie inne. Niepodobają się wam nasze miasteczka. Rażą was tutaj „skażenie smaku: pierzyny w hotelikach, „przewrotna" kawa, towary „krótkie", malowane „marmury" w małomiasteczkowej cukierence" i t. d. (słowa p. Gaweckiego).

Mój Boże! — jeżeli to jedyne zbrodnie naszych poczciwych mieszczan — to można na nie patrzeć pobłażliwie. Lepiej, że mamy takich jeszcze zacofanych obywateli, aniżeli — żydów, których wy macie w waszych miasteczkach...

Lecz bez złośliwości! Proszę się zastanowić nad następującą okolicznością: Jeszcze przed mniej więcej 50 — 80 laty nasze miasteczka wielkopolskie i pomorskie nie były polskie, bo były podobne do wszystkich miasteczek w Polsce. Mieliśmy tutaj miasteczka, które posiadały przeszło 50% żydów. Cały handel i przemysł znajdował się w rękach żydów — jak dziś jeszcze u was. Chłop wielkopolski, a raczej syn naszego chłopa, rolnika spolszczył nasze miasta. Ludność wiejska nie chcąc dzielić swej roli między liczne potomstwo, dawała synów swych w naukę do rzemieślników i kupców. Z czasem ci synowie chłopscy stali się samodzielnymi rzemieślnikami i kupcami, podjęli walkę z żydostwem i — zwyciężyli. Stworzyli polski stan średni, którym jedynie polskie ziemie zachodnie poszczycić się mogą. Ci nasi mieszczanie, to przecież stan średni w pierwszem pokoleniu, to ludzie, którzy pochodzą z „nizin", to obywatele, którzy nie mogą jeszcze posiadać tradycji i odpowiedniej kultury, to dorobkiewicze (w lepszem tego słowa znaczeniu), którzy dopiero swym synom dadzą odpowiednie wykształcenie i należytą kulturę miejską.

I całem sercem cieszyć się trzeba, że wogóle posiadamy choć taki stan średni. Nasz mieszczanin, to pionier polskiego ruchu mieszczańskiego, to szermierz idei polskości naszych miast, naszego handlu i przemysłu.

Lecz dosyć na tem. W tych krótkich uwagach na marginesie artykułu p. Gaweckiego chodziło mi tylko o sprawiedliwą ocenę Wielkopolski i jej wartości. Jestem wszechpolakiem, kocham jednakowo całą Polskę i pragnę jaknajprędszego duchowego zespolenia się wszystkich dzielnic.

T. P.

DZIESIĘCIOLECIE CZECHOSŁOWACJI

DWUDZIESTEGO ósmego października 1918 czeskie przedstawicielstwo narodowe przejęło w Pradze władzę od urzędów austrjackich, Wydany manifest do ludności głosił: „Niezawisłe państwo czeskosłowackie rozpoczęło swój byt".

Od tego czasu upłynęło dziesięć lat. Okres stosunkowo niedługi, ale bogaty w wydarzenia, bogaty przedewszystkiem w czyny twórczej pracy państwowej, której rezultaty sprawiły, że kierownicy polityki czeskosłowackiej a z nimi cały naród mogą z zadowoleniem i dumą na minione dziesięciolecie spoglądać.

Rzut oka na minione dziesięciolecie życia Czechosłowacji wykazuje na wszystkich polach wyniki imponujące. Państwo stosunkowo nieduże, o 140 tysiącach kilometrów kwadr. powierzchni, z ludnością przenoszącą 14 miljonów, jest dziś stanowczo bardzo ważnym czynnikiem gospodarczym w Europie Środkowej. Pomimo niewygodnego geograficznego położenia i dość mieszanego składu ludności odparła Czechosłowacja pomyślnie wszystkie zamachy na swą całość terytorjalną i uśmierzyła początkowe tendencje odśrodkowe swych mniejszości, pozostając raczej państwem narodowem niż narodowościowem (czechów i słowaków liczy razem 65 proc. ogółu ludności).

Przed młodem zaś państwem czeskosłowackiem piętrzyły się zrazu problematy niemal—zdawałoby się—nierozwiązalne. Według planów kierowników polityki czeskiej i ich słowackich współpracowników państwo czeskosłowackie miało objąć historyczne kraje czeskie korony św. Wacława: Czechy, Morawy i Śląsk austrjacki, przez czechów zamieszkałe cząstki Śląska pruskiego, etnograficzną Słowaczyznę i nadto jako osobne autonomiczne terytorjum Ruś Podkarpacką. Otóż stworzenie takiej Czechosłowacji miało się stać na podstawie prawa samostanowienia narodów. „Czechosłowacy" zostali wojskowo już w r. 1917 uznani za sprzymierzeńców *Entente*'y, która z powstaniem Czechosłowacji po wojnie zaczęła się liczyć. Ale o takiem państwie nie chciała słyszeć część ludności obszarów branych tu w rachubę, żądając również prawa samostanowienia dla siebie.

Pojawił się problemat niemców czeskich i trwała niepewna sytucja na Słowaczyźnie, wytworzona przez irredentę węgierską. Niemcy czescy przed wojną posiadali liczne przywileje na niekorzyść czechów, a silni kulturalnie i gospodarczo, zajmowali zwarte terytorja w krajach historycznych, mają w nich w ręku całą administrację. (W Czechach niemcy tworzą trzecią część ludności, na Morawie 20 proc., na Śląsku 40

proc.) Z chwilą rozpadu dawnej Austrji, terytorja te pod nazwą *„Deutschböhmen"* czy *„Sudetehland"* ogłosiły swą przynależność polityczną do Austrji niemieckiej a z nią do Rzeszy. Przewrotu w Pradze Niemcy uznać nie chcieli, ale bezsilność nowej Austrji i pobitych Niemiec umożliwiła Czechom w krótkiej dro dze wojskowo zająć owe obszary niemieckie.

Na Słowaczyźnie sytuacja była podobna. Dnia 30 paźdz. 1918 w Turczańskim św. Marcinie zgromadzili się politycy słowaccy i ogłosili zerwanie wszelkich węzłów łączących słowaków z Węgrami i wolę narodu słowackiego do utworzenia wraz z czechami wspólnego państwa narodowego. I tu przygnębienie wojenne u dotychczas panujących węgrów pozwoliło oddziałom czeskim zwolna zająć cały kraj po przedtem jeszcze określone granice. Rozpoczęto organizować administrację słowacką, przy biernym oporze węgrów, których liczba wynosi trzecią część liczby słowaków (600 tysięcy wobec 2 miljonów). Przyszło jeszcze prowadzić wojnę o tę ziemię z komunistyczną armją węgierską w lecie 1919 r., wojnę szczęśliwie zakończoną.

Młode państwo posiadało na swe szczęście od początku znakomitych mężów stanu. Część z nich, sędziwy prof. Masaryk, dr. Benesz i bohater narodowy słowacki, gen. M. R. Stefanik, w czasie wojny działała w państwach *Entente*'y, zyskując tam uznanie dla idei państwowej czeskosłowackiej, do której droga wiodła przez rozbicie Austro-Węgier. Filozof i socjolog Tomasz G. Masaryk dzięki swoim zaletom osobistym pozyskał sobie wszędzie ogólną cześć a wraz z zręcznym dyplomatą Edwardem Beneszem i gen. Stefanikiem umieli przeprowadzić nadzwyczaj umiejętnie swe trudne dzieło. Stworzyli Czechosłowację a za swe zasługi zyskali w kraju najwyższe uznanie. Masaryk został prezydentem republiki, dr. Benesz jest od lat dziesięciu ministrem spraw zagranicznych, tylko Stefanik nie mógł już służyć swej umiłowanej ojczyźnie, bo zginął tragicznie, właśnie wracając do niej.

Z kierownikami akcji zagranicznej współpracowali w kraju członkowie Wydziału Narodowego, wybitni politycy: przywódca ludu wiejskiego Antonin Svehla (teraźniejszy premjer), kierownik demokratów nar., znany z ruchu neosłowańskiego dr. Karel Kramarz i jego współpracownik Al. Rasin, socjaliści Jerzy Stribrny i dr. Soukup. W czasie wojny organizowali oni bierny opór przeciw władzom austrjackim, po przewrocie utworzyli pierwszy rząd łączący wszystkie stronnictwa. Poczucie konieczności jednolitego frontu pozwoliło partjom czeskim bez względu na przekonania polityczne współpracować wytrwale dla konsolidacji wewnętrznej.

Pierwsze lata powojenne zaznaczyły się gorączką lewicową, stronnictwa socjaliczne wraz z partją chłopską zwyciężyły przy wyborach r. 1920. Następne jednak wybory r. 1925 przyniosły już zdecydowane przesunięcie sił na prawo, socjaliści stracili wiele na rzecz stronnictwa ludu wiejskiego i partyj katolickich czeskiej i słowackiej. Silni jeszcze w r. 1925 komuniści od tego czasu również stracili grunt pod nogami i oparcie w masach niemal zupełnie. Wzrastający dobrobyt ogólny jest zarazem przyczyną i skutkiem wzrostu wpływów stronnictw umiarkowanych, które zdają sobie sprawę z tego, że unikać należy częstych kryzysów gabinetowych. W rozpoczętym jedenastym roku istnienia państwa rządzi krajem dopiero dziewiąty gabinet, który istnieje przeszło od dwu lat, kierownik jego, Svehla, jest już trzeci raz premjerem.

Usprawiedliwionem zadowoleniem napawać mogą polityków czeskosłowackich przedewszystkiem dwa dzieła: niedopuszczenie w swoim czasie do inflacji przez danie państwu nader wcześnie zupełnie zdrowej waluty (jest to zasługą znakomitego finansisty Rasina), oraz zniwelowanie tendencyj odśrodkowych. Obecny rząd jest mianowicie rządem koalicji umiarkowanych stronnictw czeskich, słowackich i niemieckich. Dwa najsilniejsze stronnictwa niemieckie stanęły przeszło od roku na gruncie państwowo-twórczym wysyłając swych delegatów do gabinetu. Również umiano zaspokoić żądania słowaków, po wielu zresztą wobec nich błędach popełnionych. Posiadają oni w rządzie trzech ministrów z wybitnym politykiem dr. Milanem Hodżą, min. oświaty na czele. Słowacy uzyskali swój samorząd krajowy, a niedawna akcja Rothermere'a dała powód do spontanicznych manifestacyj słowackich na rzecz jedności czeskosłowackiej. Z okazji jubileuszu państwa przywódca najsilniejszego słowackiego stronnictwa ludowego, prałat Andrej Hlinka podkreślił, że słowacy swą ojczyznę znaleźli w Czechosłowacji. Pozostaje jeszcze powiedzieć kilka słów o polityce zagranicznej Czechosłowacji, prowadzonej od lat dziesięciu bez przerwy przez dr. Edwarda Benesza. Polityka ta odznaczała się zawsze świadomością celu i to na odległe mety, była mianowicie polityką czysto pokojową, starała się opierać przedewszystkiem na wzroście dobrobytu wewnętrznego w państwie, poświęcając specjalną uwagę kwestjom ekonomicznym, a nie zapominając o tem, że Czechosłowacja jest państwem małem, starała się odgrywać rolę aktywną dla utwierdzenia istniejącego porządku rzeczy w Europie i znalazła w tem sprzymierzeńców we Francji, Jugosławji i Rumunji. W związku z tem traktować należy i stosunek Czechosłowacji do Polski: po przykrych konfliktach początkowych min. Benesz rozpoczął politykę zbliżenia, napotykając na pełne zrozumienie z naszej strony. Szereg zawartych traktatów wobec istnienia łączności interesów sprawiają, że stosunek obu państw staje się coraz serdeczniejszy. Równolegle rozwijają się coraz żywiej stosunki kulturalne obu społeczeństw. Zwolna też uległa znacznej poprawie sytuacja mniejszości polskiej w Czechosłowacji.

U progu nowego dziesięciolecia fakt konsolidacji wewnętrznej, stale aktywny bilans handlowy, ogromny rozwój przemysłu, postęp socjalny i świetny stan oświaty są najlepszym horoskopem dla republiki czeskosłowackiej.

HENRYK BATOWSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Nawrót do parlamentaryzmu. — Symboliczny zając. — Sprawa czynszowników. — Wobec niebezpieczeństwa niemieckiego.

Od pewnego czasu podniecenie, panujące wśród sfer „dobrze poinformowanych", zdawało się wskazywać niedwuznacznie, iż „na coś się zanosi". Niezadowolenie prasy „sanacyjnej" z Sejmu, oświadczenia z trybuny parlamentarnej o „bezczelnem łajdactwie", aczkolwiek wygłaszane tonem obojętnym i znudzonym, wywoływały wrażenie, iż w jakichś „kołach decydujących" uchwalono „odruchowo wybuchać oburzeniem", szukać zaczepek, wywoływać zatargi itd. Krążyły nawet pogłoski, iż zgodzono się już powszechnie, że nowy przewrót jest bezwzględną koniecznością, nie ustalono tylko jeszcze dotąd, jaki ma być cel tego przewrotu...

Tymczasem na uroczystem posiedzeniu Senatu z okazji dziesięciolecia odzyskania niepodległości, p. marszałek Szymański wygłosił mowę, wychwalającą

„ustrój republikański i parlamentarny“ i będącą hołdem dla „twórcy parlamentaryzmu polskiego, Józefa Piłsudskiego“... Wkrótce zaś potem p. premjer Bartel oświadczył na komisji budżetowej Sejmu, iż „kontrola i krytyka gospodarki rządu... nie może być niczem krępowana“. Jak określił dobrze orjentujący się „Kurjer Poranny“, mowa p. Bartla na komisji budżetowej pełna była „szczerości, odwagi i przepojona ideami parlamentaryzmu“.

Parlamentarne oświadczenie p. Bartla poprzedzone było obiadem, wydanym przez premjera dla prezydjum klubu Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Prasa „sanacyjna“, wychowująca politycznie społeczeństwo, przez dokładne informowanie go o mniej ważnych nawet szczegółach działalności rządu, nie omieszkała dowieść, iż w jadłospisie tego „historycznego“ obiadu figurował „zając z buraczkami“. Wydaje się, iż smaczna ta potrawa w tych okolicznościach miała głębokie znaczenie symboliczne. Buraczki uzmysłowiały wiecznie czerwony radykalizm lewicowego, demokratyczno-parlamentarnego odłamu Bezpartyjnego Bloku, zając zaś — odwagę i niezłomność charakteru odłamu prawicowo-ziemiańsko-„faszystowskiego“.

Można przypuszczać, iż na tymże samym obiedzie ustalono także zręczny podział ról między rządem a klubem B. B. w sprawie ustawy o czynszownikach w województwach wschodnich. W rządowym projekcie ustawy zamieszczony był mianowicie artykuł, uchylający „przepisy ustawodawstwa rosyjskiego, zawierające ograniczenia przeciw Polakom“. Komisja sejmowa, zgodna w tym wypadku z t. zw. „ideologją państwową“ oraz żywotnemi interesami żydów na kresach, słowa „przeciw Polakom“ zastąpiła wyrażeniem „narodowościowe lub wyznaniowe“. Na plenarnem posiedzeniu Sejmu premjer Bartel postawił wniosek, przywracający wspomnianemu artykułowi jego pierwotne brzmienie, jednakowoż Bezpartyjny Blok tym razem postanowił z rządem... nie współpracować wskutek czego wniosek p. Bartla upadł. Salwowano jednocześnie i sympatje wśród polaków kresowych dla obecnego rządu i... nową, cenną zdobycz dla żydów.

Na niebezpieczeństwa, grożące Polsce z powodu zapowiedzianego przedwczesnego opróżnienia Nadrenji przez wojska sprzymierzone, słusznie zwrócił uwagę wniosek nagły, zgłoszony w Sejmie z inicjatywy Klubu Narodowego. Prasa niemiecka przyjęła wniosek ten ze zrozumiałem niezadowoleniem. Oczekiwać należy, iż wniosek powyższy da ministrowi spraw zagranicznych Zaleskiemu sposobność do urzędowego określenia stanowiska rządu polskiego w tej sprawie, a także do wyjaśnienia, jakie w tym względzie dyplomacja nasza podjęła starania i jakie dały one wyniki.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

ECHA ZJAZDU FILOZOFICZNEGO

DOPIERO niedawno ukazało się sprawozdanie z drugiego polskiego Zjazdu filozoficznego w Warszawie, który się odbył w końcu września r. ub.*)

Plon przedstawia się bardzo dodatnio, 76 referatów i komunikatów—to cyfra pokaźna. W Zjeździe wzięli udział nietylko filozofowie polscy lecz i słowiańscy wogóle, wytwarzając w ten sposób wysoce pożądaną atmosferę wzajemnego poznania się i wymiany myśli. Polacy odgrywali oczywiście rolę gościnnych gospodarzy—ale mimowoli nastręcza się myśl, że z roli tej nie powinni wychodzić i w innem, szerszem znaczeniu wyrazu. Polska, posiadająca tak wybitną w całej słowiańszczyźnie tradycję pracy umysłowej i wielkich syntez ideowych, powinna dbać o zdobycie i utrwalenie swego prymatu w tej dziedzinie i dzisiaj. Dla każdego słowianina powinna stać się obowiązkiem zupełnie naturalnym, znajomość polskiego dorobku i polskiej myśli filozoficznej. Oczywiście, powtórzmy, musimy dołożyć pracy i pomyślne konjunktury wyzyskać: samo siu nie zrobi.

Potrzebę i aktualność porozumienia ogólno słowiańskiego w filozofji podkreślono z wielu stron. Uczeni z Pragi, Berlina, Paryża—czesi, ukraińcy, jugosłowianie wypowiedzieli się mniej lub więcej jasno. Co więcej, w ożywionych dyskusjach podnoszono problem odrębnej, słowiańskiej filozofji. Zdania się podzieliły. Gdy jedni upatrywali w umyśle praktycznym słowian, w tendencjach do konkretyzowania cechy znamienne przeszłej i przyszłej myśli filozoficznej, drudzy bronili konieczności zachowania teoretycznej ogólności i powszechności koncepcyj filozofji, niezależnie od rasy. Niektórzy wreszcie (jak B. Gawecki) upatrywali w historjozofji poszczególnych narodów jądro ich filozofji narodowej, jeśli o takiej wolno mówić.

Pozatem filozoficzne oblicze Zjazdu nie różniło się od takich samych zjazdów za granicą. Na czoło wysunęły się, tak jak i na Zachodzie, problematy logiki matematycznej, teorji poznania, metodologji nauk ścisłych, przyczem nie brakło poglądów i bardzo radykalnych, że wymienimy inauguracyjny poniekąd referat prof. dra. J. Łukasiewicza. W referacie tym znany nasz logik postawił tradycyjnej filozofji wręcz zarzut nienaukowej (zresztą wiadomo nie od dziś, że trzeba odróżniać filozofję od nauki *sensu strictiori).* Wypowiedział nawet otwarcie pogląd, choć go nie uzasadnił bliżej, że systemy filozoficzne nie posiadają żadnej wartości naukowej i całą pracę trzeba rozpoczynać od fundamentów, co będzie zadaniem umysłów przyszłości. Naogół, filozofowie polscy nie występowali z szerszemi syntezami, z wyjątkiem prof. Lutosławskiego, który jak zwykle, propagował swój mesjanizm.

Z gości—prof. Petroniewicz z Białogrodu wystąpił z ekspozycją całego systemu filozoficznego, bardzo metodycznie opracowanego. Uczeni rosyjscy, jak np. Bierdiajew, Łosskij dali również pewne syntezy metafizyczne, z szerokiem uwzględnieniem idej religijnych i etycznych.

Tych ostatnich było wogóle jak najmniej. Problematy humanistyczne przestają interesować umysły spółczesne. Człowiek nie jest interesujący, tylko jego wytwórczość. Stąd supremacja techniki, w postaci fizyki i matematyki zaciążyła zupełnie wyraźnie na dorobku II Zjazdu.

Filozofję starożytną również ominięto: nie dziw bo tam zagadnienia humanistyczne występują na pierwszy plan. Nawet uczonych specjalistów od filozofji greckiej nie było na Zjeździe...

Tak jednak czy inaczej — rezultaty są zupełnie wyraźne i dodatnie. Atmosfera filozoficzna zaczyna się wytwarzać w Polsce powojennej.

L. K.

*) Księga pamiątkowa drugiego polskiego zjazdu filozoficznego. Warszawa 1927. Wydz. Przeg. Fil. R. 31. 1928.

PAMIĘCI MIECZYSŁAWA GENIUSZA

NA Powązkach na mogile zmarłego w Warszawie ś. p. Mieczysława Genjusza stanął grobowiec, wzniesiony staraniem „Ogniska uświadomienia narodowego“ jego imienia. Poświęcenie odbyło się w ósmą rocznicę zgonu, 25 listopada. Nie powinna zgasnąć

pamięć o nim w kraju wolnym, do którego Genjusz, mieszkając od dzieciństwa na obczyźnie, tęsknił, odczuwając i rozumiejąc każde tętno jego życia. Trzydzieści lat był dyrektorem zarządu kanału Sueskiego w Port Saidzie, a założywszy tam towarzystwo przyjaciół Polski, potrafił w czasie wojny okazać pomoc komitetowi polskiemu w Vevey. Był autorem kilku prac treści filozoficznej, w r. 1920 broszury „O polską myśl narodową". Zbiory po nim objęło Muzeum Narodowe i Bibljoteka Publiczna w Warszawie. Powrócił do kraju w r. 1918. Organizm nie wytrzymał klimatu. Rychło też zmarł.

Dla charakterystyki jego wzniosłego umysłu, zajętego zagadnieniami metafizycznemi, w których natchnieniu żył, przystowowawszy do nich tryb życia osobistego, przytaczamy wiersz, pozostawiony w autografie:

VENI CREATOR SPIRITUS

W udręce tęsknej tuła się po ziemi
Duch, rozproszony między dusze ludzi;
I ciężko duszom, które on obudzi
Dążyć samotnie ścieżkami stromemi,

I nosić w sobie lęk dojrzanych bezdni,
I czuć samotność na szczytach Synaju
Być swoim—obcy, wśród nich jak przejezdni
I mową obcą w własnym mówiąc kraju.

I czuć materję nierozumną w ręce,
Co od zapłodnień duchowych ucieka,
Gardząc rozkoszą, która w twórczej męce
Treść, żądną bytu, w nowy kształt obleka.

— — — — — — — — — — — — — — — —

O Duchu, z dusz tych tryśnij promieniami
I w zestrzelone połącz je ognisko,
Niech wiedzą ci, co dotąd byli sami,
Jak w oddaleniach byli siebie blisko.

I niechaj dusze, spromienione społem
Mają blask Ducha, tworzącego w niebie,
A jak promienie, zeń idące, siebie,
Ze znakiem jasnym Jego tchnień nad czołem.

I niech widzenie dzieł ducha ukaże
Tajnie przepaści i mostów ich tęcze:
Dla wspięć zawrotnych — pomocne poręcze,
A nad Taborem — przemienionych twarze!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Przyjdź Duchu Święty i zlej swe promienie
W ognisko, co ma świecić przez bezdroża,
I niech nam będzie jego dzieł czynienie
Jako cud cichy owocu i zboża.

Warszawa 11.X.1920. MIECZYSŁAW GENIUSZ

Z ŻYCIA LITERACKIEGO

Nagroda zrzeszenia księgarzy nakładców przypadła w tym roku trzem krytykom. Mianowicie otrzymali po 2.000 zł. nagrody: Wacław Borowy, Karol Irzykowski i Tadeusz Boy-Żeleński. Nareszcie zwrócono uwagę na istnienie krytyki. Wybór zasłużonych pisarzy zasługuje na uznanie. — Nagrodę miasta Warszawy 15.000 zł. wręczono poecie starej Warszawy Arturowi Oppmanowi w święto dziesięciolecia niepodległości Polski na rynku Starego Miasta. Połączono ten akt z uroczystością przyjęcia przez miasto odrestaurowanego przez artystów Rynku Starego Miasta.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W oczekiwaniu mitycznego (podobnie jak wydanie pism Norwida!) sejmowego wydania twórczości rękopiśmiennej Mickiewicza, jeden z najwybitniejszych jego przygotowaczy, prof. U. S. B., Stanisław Pigoń, wydał obecnie nakładem księgarni Gubrynowicza we Lwowie cztery tomy Poezyj Mickiewicza. Wydanie to w zasadzie popularne, odznacza się jednak poprawnością tekstów, skolacjonowanych ze źródłami, autografami lub pierwodrukami. Przypisy wydawcy, z istoty rzeczy niezbyt obfite, podają najważniejsze warjanty, oraz wprowadzają w genezę utworów, wreszcie wskazują najważniejsze pozycje bibljograficzne. Wydanie, sporządzone na dobrym papierze i odbite czysto i wyraźnie, zdobią liczne podobizny poety oraz *fac-simile* kilku jego autografów. Słowem, od czasu brodzkiego wydania (1911) pism Mickiewicza przez Kallenbacha, wydanie Pigonia jest bez wątpienia najlepsze.

*

Utalentowany i wielce popularny Kornel Makuszyński wydał u Gebethnera cztery opowiadania p. t. „Śmieszni ludzie". Pierwsze jednak opowiadanie nietylko nie jest śmieszne, ale daje wręcz tragiczny obraz pośmiertnej miłości cienia-kobiety zadręczonej przez męża. W pozostałych opowieściach anegdota, komizm, humor i sentyment (specjalny, staromiejski, dla „ludzi poczciwych") wprawdzie sączą się w sytuacjach, kreślonych bardzo wyrobionem piórem, ale wybuchów wesołości tam nie znajdujemy. Snadź już i Makuszyński traci ochotę do niefrasobliwej wesołości. Może się zabierze do satyry. Czasy dzisiejsze nadają się mocno do tego.

*

Powieść wojenna Jerzego Kossowskiego „Kłamca" (Nakł. Geb. i Wolffa 1928) jest interesująca z powodu psychologicznego motywu jaki zawiera. Jest to bowiem studjum w formie beletrystycznej o człowieku, który od dzieciństwa miał nałóg kłamstwa, objawiający się w przeróżnych formach: zmyślania, pozy, nieszczerości, mówienia. Niewymyślna fabuła — przeżycia „kłamcy" w okresie wojny na froncie austrjacko — rosyjskim są dla autora dobrem tłem do uwydatnienia perypetyj tego osobliwego i nieszczęśliwego charakteru, który wreszcie nie mogąc pogodzić kalectwa z miłością—kończy samobójstwem—nieszczery wobec siebie nawet w tej ostatniej chwili. Zadanie swe przeprowadził autor z sumiennością obserwatora i umiarem artysty. Powieść tego typu, powieść psychologiczna jest dziś u nas rzadkością. Autorowie — młodzi i najmłodsi — gubią się w efektach czysto powierzchownych, robią sztuczki stylistyczne, lekceważąc logikę przeżyć wewnętrznych i duchowe oblicze swych bohaterów. Po „Zielonej kadrze" — „Kłamca" dobrze poleca młodego autora.

*

Jan Wiktor jest dziś najwybitniejszym w literaturze polskiej malarzem świata zwierzęcego. Jego „Burek" tłumaczony na wiele języków, jest w danym zakresie rzeczą prawdziwie klasyczną; po Dygasińskim i Bartkiewiczu trzyma Wiktor palmę w opisywaniu życia podwórzowego, co różni go od Ejsmonda, obserwującego głównie zwierzynę w stanie dzikim jeszcze żyjącą („w puszczy" etc.). Do druku przygotował Wiktor gruby tom, noszący tytuł „Eros na podwórzu", wydał zaś (nakł. Gebethnera) powieść p. t. „Srogi pies i sentymentalny zając". Przymina ona niekiedy „Burka", ale utrzymana jest w tonie raczej miękkim, uczuciowym; mniej tu groteski i drastyczności, więcej liryzmu. Liryzmu tego uosobieniem jest chowany zając, w którym pan jego, Adam Samborski, upatruje symbol swej namiętnej, choć płochliwej, skrywanej i bezwzajemnej, miłości. Drugi „bohater tytułowy", srogi pies Komornik, ma też poniekąd znaczenie symboliczne przez swą zaciekłą wierność względem swego pana, który darzy go przyjaźnią nawet wówczas, gdy kłami psiemi rozdarty pada ukochany zając. Obok akcji zasadniczej ma powieść całe mnóstwo epizodów, gdzie spotyka się w najróżniejszych okolicznościach drobne sprawy codziennego życia ptasiego i zwierzęcego. Wkrótce ma się ukazać parę jeszcze innych powieści Wiktora, w których prócz motywów zwierzęcych rozwinięte są i tematy współczesne z dziejów ludzkich.

*

Stella Olgierd, znana tłumaczka, ogłosiła nakł. księgarni K. Rzepeckiego w Poznaniu powieści p. t. „Czarownica". Treścią jej zasadniczą jest miłość młodego rycerza polskiego do żydówki (raczej Karaimki) Noemi; podobnie jak w oklepanej operze Halévy'ego, rzecz cała kończy się straceniem żydówki, jako czarownicy, za rzekome praktyki szatańskie, które przyczyniły się do śmierci owego rycerza, jakoteż do otrucia Halszki Rokuszanki, żony Zygmunta Augusta. Owo otrucie, powodowane chęcią uzyskania potomstwa, a inspirowane przez Bonę, jest żywo naśladowane ze „Złotych więzów" Lucjana Rydla, niestety pozbawione uroku poetyckiego, jaki tamto dzieło owiewa. Wogóle w całej powieści — poza iskierkami piękniejszych pomysłów — dużo jest oklepańców, komunałów i niepotrzebnego a naiwnego patosu, który pomnażają ponadto różne fałszywe „archaizmy", świadczące o zupełnej nieznajomości starej polszczyzny (np. „we krwie" — dopełniacz zamiast miejscownika itd. itd.): obok tego spotyka się— w XVI wieku!— takie rzeczy, jak wzmianki o „komórkach mózgowych" etc, dobrze jeszcze, że nie o Woronowie i Steinachu. Obraz dworu Bony — który przepychem renesansowych barw powinienby dać artyście pole do popisu—wypadł tu nader blado i konwencjonalnie.

*

Bibljoteka Laureatów Nobla zyskała teraz fachowego kierownika w osobie Stanisława Wasylewskiego, dzięki czemu staje na poziomie naprawdę godnym swego celu i założenia; nieodwołalnie skończyła się *„die kaiserlose, die schreckliche Zeit"*, kiedy to w tejże Bibljotece, pozbawionej przez czas pewien kierownictwa literackiego, ukazał się okropny wprost przekład „Ostatniego rozdziału" Hamsuna, wysmażony przez p. Felicję Aum. Pełną rehabilitacją jest wydany tamże nowy tom Hamsuna, mianowicie „Misterja" w przekładzie Mirandoli (staranniejszym od wielu innych tego tłumacza) i z ciekawą przedmową Czesława Kędzierskiego. Kędzierski — zaznaczyć to należy — jest obok S. Kołaczkowskiego najtęższym w Polsce znawcą dzieł wielkiego pisarza norweskiego, których parę wprost z oryginału przetłumaczył i jeszcze tłumaczy („Wiktorja", „Włóczęgi" etc.). W przedmowie najciekawsze są szczegóły biograficzne, po raz pierwszy odsłaniające się przed czytelnikami polskimi, gdyż życie Hamsuna, pełne niezwykłych kolei i zawodów, do niedawna nieznane było nawet najbliższym jego powiernikom we własnej ojczyźnie pisarza; na wyznania trudno było zawsze Hamsuna wyciągnąć. Dopiero w zeszłym roku powiodło się to jednemu z publicystów norweskich, który informacje te — acz nader skąpe — opublikował.

*

Ukazał się tom III serji II „Rocznika Pedagogicznego" (Książnica Atlas, Warszawa—Lwów 1928). Znajdujemy tu artykuły najwybitniejszych naszych specjalistów. Na szczególną uwagę zasługuje ogromnie treściwy synoptyczny artykuł prof. B. Nawroczyńskiego o głównych prądach w pedagogice współczesnej, o ile są to właśnie prądy naukowej myśli. Ciekawe, że ideały i metody pedagogiczne grupowały się paramiantytetycznie. I tak: istniał intelektualizm, ideał naukowego prymatu w wychowaniu i jego przeciwnik — kierunek uczuciowo-estetyczny. Istnieje kierunek teoretyczny — ideał wykształcenia ogólnego, najbardziej bodaj w programach stosowany. Kierunek praktyczny wychowuje przez działanie, rozwój sprawności. Wreszcie ścierają się z sobą kierunki indywidualistyczny i socjalny. Rozwija się też kierunek narodowy w wychowaniu, polegający na rozwijaniu dodatnich cech i właściwości narodowych i korygowaniu ujemnych.

Studjum prof. I. Joteykówny (niedawno zmarłej) zaznajamia z ważniejszemi zagadnieniami nowej gałęzi psychologji stosowanej, t. zw. psychotechniki; z rolą jej ogólną w selekcji pracowników najlepiej do danego zawodu się nadających i ze znaczeniem jakie podobne badania posiadają w szkole, aby odpowiednio pokierować dziećmi w ich dalszym rozwoju i przysposobić do właściwych zawodów.

Rozprawa L. Dymka, ucznia śp. prof. L. Zarzeckiego streszcza bardzo przejrzyście zadania i metody nowego kierunku w psychologji, tzw. psychologji „struktur", tj. zespołów myślowo-uczuciowo-duchowych, z których się składa treść świadomości. Psychologja ta w pojmowaniu rozwoju dziecka ma dziś ogromne znaczenie.

Inne prace i artykuły posiadają znaczenie bardziej specjalne. Zauważmy mimochodem, że i tu sympatje polityczne odgrywają rolę. W dziale nekrologów znajdujemy bardzo objektywny i bardzo powściągliwy nekrolog tak znakomitego pedagoga jak śp. Lucjan Zarzecki, natomiast o Ksawerym Praussie, z P. P. S., słynnym ministrze rządu lubelskiego, pisze się jako o „mocnym, jasnym duchu przodowniczym, ofiarnym w służbie idei". Czy aby ta idea była naprawdę oświecająca?

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Literackie nagrody Nobla za lata 1927 — 28 przypadły w tym roku Henrykowi Bergsonowi i powieściopisarce norweskiej Zygfrydzie Undset. Pani Undset jest autorską szeregu realistycznych powieści współczesnych, ale sławy zawdzięcza głównie powieści historycznej z czasów katolickiego średniowiecza Norwegji pt. „Krystyna córka Lawransa". Studja historyczne pociągnęły ją ku katolicyzmowi, — zmieniła też wyznania. Ojciec jej był profesorem historji w Oslo.

*

Bardzo cenną pracę ogłosił Gustave Combès p. t. *„La doctrine politique de Saint-Augustin"* (Plon. édit.). W obszernym tomie (470 str.) autor zebrał, uporządkował i skomentował poglądy polityczne świętego biskupa Hipponu, rozrzucone w licznych jego pismach teologicznych, apologetycznych, listach, kazaniach itd. Całość podzielił p. Combès na działy następujące: Władza, Prawo, Sprawiedliwość, Ojczyzna, Wojna, Stosunek Kościoła do Państwa. Autor starał się wyłożyć myśl św. Augustyna w sposób możliwie najściślejszy, najbardziej przedmiotowy, każdy swój pogląd uzasadniając natychmiast cytatami. Wykład poprzedzony jest rozdziałem wstępnym, traktującym o źródłach filozofji św. Augustyna, zakończony zaś zwięzłem przedstawieniem przemożnego wpływu, jaki św. Augustyn wywarł na cały rozwój myśli chrześcijańskiej w wiekach następnych.

Bliższe zapoznanie się z nauką św. Augustyna a także z jego myślą polityczną, jest dla czasów dzisiejszych potrzebą o wiele pilniejszą i aktualniejszą, niżby się to na pozór mogło wydawać. W nauce tej bowiem sformułowane są najgłębsze zasady łacińskiej, katolickiej cywilizacji, w której wychowywały się narody zachodniej Europy.

*

Nakładem księgarni Payota ukazał się francuski przekład nader interesującej pracy prof. Inazo Nitobé p. t. *„Le Bushido, l'ame du Japon"*. Autor, profesor uniwersytetu cesarskiego w Tokio i członek cesarskiej akademji japońskiej, wybitny dyplomata, chrześcijanin a jednocześnie miłośnik dawnej, rycerskiej tradycji Japonji, dał dzieło niezwykle pouczające o duszy japońskiej i o japońskiem pojęciu honoru.

*

W zbiorze *„Le livre de demain"* ukazała się powieść Jean Fayard'a pt. *„Oxford et Margaret"*, stanowiąca cenne studjum obyczajowe, z dużą znajomością stosunków malujące psychologję dość licznych dziś kół wśród młodzieży uniwersyteckiej na zachodzie Europy.

*

Znana księgarnia paryska Perrin et Cie wydała świeżo książkę pp. Barot-Forlière (M. i L.) *„Notre Soeur, la Pologne"* („Nasza Siostra, Polska"). Autorowie w istocie mówią o Polsce po bratersku, serdecznie i życzliwie; wzruszają się jej przyszłością, entuzjazmuje ich fakt jej wskrzeszenia; teraźniejszość podziwiają i chwalą. Są to osobiste ich wrażenia. Poza tem jednak autorowie podają mnóstwo ścisłych informacyj o Polsce dawniejszej i dzisiejszej, mnóstwo wiadomości z dziedziny historji, geografji, etnografji i t. p., które czytelnikowi francuskiemu ułatwiają poznanie kraju oraz jego ludności. Znajdujemy tu między innemi szereg rozdziałów, poświęconych główniejszym miastom polskim.

Książka zawiera 65 ilustracyj.

*

Ferdynand Bac wydał ciekawą książkę *„Louis I-er de Bavière et Lola Montès"*, z której się okazuje, że głośna w swoim czasie awanturnica, co usidlała starego króla Bawarji i trzęsła jego państwem, była agentką rządu pruskiego, a także rozmaitych komitetów rewolucyjnych, spiskujących w wielu stolicach ówczesnej Europy...

Oczywiście, nie obeszło się i tu bez żydka pośredniczącego, którym był jakiś obskurny rzeźbiarz Loeb.

ZMARLI

Ś. P. PROF. JAN ŁOŚ

Nową, dotkliwą stratę poniosła nauka polska. Dnia 10 listopada b. r. zmarł w Krakowie prof. U. J. Jan Łoś, jeden z najwybitniejszych językoznawców polskich doby ostatniej. Urodzony 14 maja 1860 r. w Kielcach, uczęszczał do gimnazjum w Piotrkowie, poczem zapisał się na wydział hist.-filologiczny w Petersburgu i ukończył go w r. 1885 ze stopniem kandydata. Aby pogłębić wykształcenie uniwersyteckie, wyjeżdża zagranicę do Paryża, Freiburga, Lipska i Berlina, gdzie słucha wykładów wybitnych językoznawców: F. de Saussure'a, K. Brugmanna, A. Leskiena, W. Wundta i in. W r. 1890 został prof. Łoś mianowany docentem filologji słowiańskiej na uniwersytecie petersburskim. Pierwsze prace naukowe prof. Łosia („Gwara opoczyńska", Rozprawy Wydz. Fil. Akad. Um. w Krakowie, 1886 r.) przypadają na okres tworzenia się podstaw nowoczesnego językoznawstwa polskiego. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ub. stulecia rozpoczyna się żywy ruch na polu filologji polskiej, któremu przewodzi zrazu J. Baudouin de Courtenay potem Wł. Nehring, L. Malinowski, Jan Karłowicz, Ad. A. Kryński i in. Prof. Łoś pomnaża znakomicie skromny dorobek, jaki zastał w dziedzinie nauki o języku i dzięki niezmordowanej pracowitości, gruntownej wiedzy i wybitnym zdolnościom staje w pierwszym szeregu naszych językoznawców.

W r. 1902 po śmierci L. Malinowskiego obejmuje katedrę filologji słowiańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim i z zapałem poświęca się pracy nauczycielskiej, znajdując przytem czas na twórczość naukową. Pobyt w Krakowie wpłynął dobrze na rozwój działalności naukowej prof. Łosia. Obok mniejszych rozprawek i artykułów, umieszczanych w „Sprawozdaniach Akad. Um.", w „Kraju", „Roczniku Slawistycznym", „Języku Polskim", „Materjałach i pracach Kom. jęz. Akad. Um.", „Rozprawach Wydz. fil. Akad. Um." i t. d., ogłosił prof. Łoś szereg cennych zabytków literatury staropolskiej w „Bibljotece pisarzów polskich" (nakł. Akad. Um. w Krakowie) i wydał tomy IV, V i VI „Słownika gwar polskich" Jana Karłowicza. Nadto od r. 1902 pracował bez wytchnienia nad pomnikowem dziełem—Słownikiem staropolskim, który ma objąć wszystkie wyrazy, zawarte w zabytkach polskich do połowy XVI w.

Niesposób w krótkiem wspomnieniu pośmiertnem wymienić wszystkich prac ś. p. Zmarłego, musimy się ograniczyć do najważniejszych. W ostatnich kilkunastu latach po długim szeregu rozpraw i przyczynków ukazują się dzieła syntetyczne, które stanowią koronę twórczości naukowej prof. Łosia. Są to: „Przegląd językowych zabytków staropolskich do r. 1543", Kraków, 1915 (wyd. II-e, Lwów, 1922), „Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju", Warszawa, 1920 i trzytomowa „Gramatyka polska", którą poprzedziły litografowane skrypta i artykuły, drukowane w „Encyklopedji polskiej" Akad. Um.

„Gramatyka polska" jest ostatnim wyrazem wiedzy naszej o rozwoju języka polskiego. Autor z dużem znawstwem i niemniejszym talentem pisarskim (zwłaszcza p. ustępy o znaczeniu i życiu wyrazów) wprowadza nas w tajniki mowy polskiej i ożywia oraz uczy kochać, zdawałoby się martwy i suchy, wykład gramatyki polskiej. Notujemy jeszcze „Zasady ortografji polskiej" (Lwów, 1920), „Krótka gramatyka historyczna języka polskiego (1927) i „Gramatyka starosłowiańska" (1922). Bogaty dorobek naukowy ś. p. prof. Łosia zyskał mu duże uznanie w kraju i zagranicą, czego wyrazem było zaliczenie go w poczet swoich członków przez Towarzystwa naukowe: w Londynie, Sofji, Pradze, Leningradzie, Lwowie, Warszawie, Poznaniu i Krakowie.

Prof. J. Łoś był nietylko dużej miary uczonym, ale i nieskazitelnym Polakiem.

Poza działalnością naukową prof. Łoś brał jeszcze udział w pracach organizacyjnych Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, Towarzystwa Etycznego, Związku Inteligencji i in. Wyniesiony do godności rektora, kierował umiejętnie Wszechnicą Jagiellońską, zdobywając uznanie wśród kolegów i miłość gorącą oraz szacunek słuchaczy.

Odszedł, pozostawiając w żałobie kraj, rodzinę i przywiązanych uczniów.

TAD. B.

NA MARGINESIE

W słowniku mamy przymiotnik: „parlamentarny" = przyzwoity: sposób rozmowy „nieparlamentarny" znaczy tyle, co łobuzerski. Ilustrowało te pojęcia BB w naszym parlamencie, kiedy prezes tego klubu, który zwykle „ani be ani me", ni stąd ni zowąd, zamówiwszy sobie u marszałka „deklarację polityczną", powiedział p. Markowi, że jego twierdzenia są „bezczelnem łajdactwem". Podobno—tak mówią—p. Sławek sądził, że jest to już ostatnie posiedzenie Sejmu. Tymczasem Sejmu nie rozwiązano, a gdy na następnem posiedzeniu zrobiła się awantura, to klub p. Marka uznał „mowę" p. Sławka za nieparlamentarną. Chodzą teraz świadkowie i t. d.

Mniejsza o to, lepiej opowiedzmy sobie anegdotkę. Otóż pewien sławetny pan rozmawiał z okna wagonu z antagonistą stojącym na peronie. Gdy pociąg ruszył, pan ów trzasnął owego w twarz, ufny, że uszedł bezkarnie. Aliści pociąg tylko zwekslował i wrócił, gdzie go ów czekał.

*

Sanacyjny „Przegląd Wieczorny" (dn. 15 z. m.) czyni następujące spostrzeżenie:

„Jesteśmy narodem, który nie umie się cieszyć, nawet okrzyk „Niech żyje!" wznosimy trzy razy, jak na komendę"...

A może wyjaśnienie tajemnicy tkwi w tem właśnie, że w latach ostatnich okrzyk „Niech żyje!" zbyt często naprawdę wznoszono „na komendę", nie z serc przepełnionych radością, ale jakby chcąc za wszelką cenę zagłuszyć wyrzuty sumienia...

*

Uroczyście święcona przez Lwów rocznica obrony Lwowa od hajdamaków, którzy, zorganizowani przez niemców, nastawali na całość Rzplitej, odbyła się bez udziału władz państwowych. Opinja narodowa nie zdołała dotąd wyprostować poglądu sfer sanacyjnych, że w obronie Lwowa walczyła ludność i wojska z siłami zbrojnemi polityki niemieckiej i to zarówno w interesie ludności polskiej, jak i ruskiej, która inaczej dostałaby się w niewolę bolszewicką. Było to zwycięstwo Rzplitej, broniącej swych granic, nie zaś Polaków nad Rusinami. Ukraińców nie zna państwo polskie; a bałamuctwa słabych umysłów w sanacji są tem dziwniejsze, że uznają one rzekomo tylko „państwowe' stanowisko w polityce.

*

Jest rzeczą zadziwiającą, że wśród tylu najosobliwszych, najnieprawdopodobniejszych pomysłów uczczenia min. Piłsudskiego (zmiana nazwy „Gdynia" na „Piłsudsk"!), zwolennicy jego zapomnieli o wyrazie pietyzmu najnaturalniejszym, jakim byłoby... pełne zbiorowe wydanie jego wywiadów, artykułów i przemówień. Artykuły te, wywiady i przemówienia, rozproszone dziś po dziennikach, dopiero zebrane razem dałyby pełną i wyrazistą charakterystykę min. Piłsudskiego, jako człowieka, jego myśli politycznej, jego stosunku do narodu. Dla współczesnych, a także w przyszłości dla historyków byłyby nader pouczającym dokumentem.

*

Są ludzie, którzy tracą swoją wartość przez to tylko, że rodzą się w niewłaściwym czasie i w niewłaściwych warunkach. Patrząc dziś na naszych kapłanów narodu, wygrzebujących „głębokich myśli" w bezmyślnej gadaninie swoich bożyszcz, widzimy, jacyby to byli znakomici kapłani w świątyni egipskiego Apisa, wygrzebujący z gnoju owego czarnego wołu z białą gwiazdką boskie objawienia. Zmarnowali swoje wieszcze zdolności w spóźnionych narodzinach. Ich nasiona spoczywały w historji dwadzieścia kilka wieków i zakiełkowały dopiero przed paru laty. I to dziwnym kaprysem losu wyrosły nie w Afganistanie, nie w Maroku, nie w Argentynie, ale u nas, w najradykalniejszej (po Sowietach) i najdemokratyczniejszej Rzeczypospolitej.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY NA R. 1929

MYŚL NARODOWA

Tygodnik poświęcony kulturze twórczości polskiej

pod redakcją ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO i JANA REMBIELIŃSKIEGO

Adres Administracji: Warszawa, Al. Jerozolimskie 17. Konto czekowe PKO. 3.105

Adres Redakcji: Marszałkowska 153.

WARUNKI PRZEDPŁATY NA R. 1929	w kraju: 9 zł. kwart., 17 półrocz., 32 rocznie	zagranicą: zł. 12 kwart. półrocz. 24, rocznie 45 zł.

z dostawą

CENA ZESZYTU 80 GR

Od 1 stycznia 1929 r. „Myśl Narodowa" będzie wydawana co tydzień. Kwartalnie dochodzić będzie do czytelników 13 zeszytów, zamiast 6. Każdy zeszyt będzie złożony ze stron 16, co czyni kwartalnie stron 208, podczas gdy obecny dwutygodnik daje kwartalnie stron 120.

Otwierając prenumeratę na rok 1929, upraszamy o wczesne zamawianie pisma i nadsyłanie jednocześnie należności za kwartał IV rb. na dawnych warunkach, oraz zaległości. Wpłaty najdogodniej uskuteczniać czekami na PKO konto 3.105.

Upraszamy przyjaciół pisma o nadsyłanie adresów znajomych, którzy mogliby i chcieli „Myśl Narodową" zaprenumerować. Na każde żądanie nadeślemy zeszyty okazowe i czeki. Czytelnicy—nie wątpimy—skutecznie dopomogą w tem wydawnictwu.

Przyjaciele pisma rozumieją jasno, że trzeba przerwać apatję sfer oświeconych, zrażających się do szerszego współżycia umysłowego i współdziałania wskutek zamętu myśli politycznej i etycznej. Przesilenie tego stanu jest już bliskie. Życie bowiem wszystko pokonywa, należy tylko coraz rozumniej je regulować myślą przewodnią. Jest to zadaniem sfer oświeconych, dla których właśnie wydawana jest „Myśl Narodowa" jako myśl przewodnia.

Sfery oświecone, odpowiadające za losy Polski, nie dojdą do należytej postawy, jeżeli pozwolą sobie wmawiać, że stanowisko narodowe należy do partyjnych. „Myśl Narodową" wszyscy czytać powinni.

Zamiana na tygodnik pozwoli nam rozszerzyć wiele działów i ożywić je przez związanie z zagadnieniami chwili bieżącej. „Myśl Narodowa" jest ogniskiem dla szerokiego koła pisarzy paru pokoleń ze wszystkich części kraju. W ciągu paru ostatnich lat korzystaliśmy ze współpracownictwa 130 osób, a w tej liczbie trzecia część należy do najmłodszego pokolenia. Widzieć w tem trzeba dowód żywotności pisma.

W „Myśli Narodowej" pisuje Roman Dmowski. Aleksander Swiętochowski zamieszcza fejletony „Liberum veto" w każdym numerze. Stale piszą i redagują: Zygmunt Wasilewski i Jan Rembieliński.

W dziale politycznym i społecznym pisują: Stan. Kozicki, Roman Rybarski, Boh. Wasiutyński, Józef Hłasko, Jan Zamorski, J. Bartoszewicz, Zdz. Stahl, Zyg. Raczkowski, St. Głąbiński, Jerzy Drobnik.

Z dziedziny literatury i sztuki zamieszczają artykuły: Wład. Jabłonowski, Stan. Pieńkowski, J. E. Skiwski, Ign. Chrzanowski, St. Pigoń, W. Bruchnalski, Tad. Grabowski, J. Birkenmajer, St. Cywiński, Wit. Chwalewik, Adolf Nowaczyński, Adam Grz. Siedlecki, A. Wysocki. St. Kolbuszewski, R. Bergel, H. Batowski, J. Briares.

W zakresie zagadnień naukowych (socjologja, historja, psychologja, wychowanie) pisują: Wład. Konopczyński, W. Sobieski, K. L. Koniński, B. Suchodolski, L. Jaxa-Bykowski, Bol. Bator, A. Szpotańska, Bol. Gawecki, L. Konopacki, St. Szpotański, Jan Gw. Pawlikowski, Jan Kornecki.

Utwory swoje umieszczali: Kasprowicz, M. Wolska, Iłłakowiczówna, Zanówna, St. Miłaszewski, W. Miłaszewska, Filochowski, Słonczyńska, Zegadłowicz, Bąkowski, Gałuszka, K. H. Rostworowski, Ruffer, J. Szaniawski, Newlin-Wagner, J. Kawecki, St. Godlewski.

TREŚĆ: O świadomość dziejową *Z. Wasilewskiego.* — O pojmowaniu polityki *Z. Stahla.* — Nowa oligarja *S. Pieńkowskiego.* — Polska w oczach Zachodu *A. Nowaczyńskiego.* — Uczta kozła a święto „Dziadów" *S. Pigonia.* — Liberum veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Z życia masonerji; Wrażenia z Wielkopolski; Dziesięciolecie Czechosłowacji *H. Batowskiego.* — Przegląd polityczny *J. R.* — Nauka i literatura: Echa zjazdu filozoficznego *L. Konopackiego.* — Z Ruchu wydawniczego. — Zmarli: Jan Łoś *T. B.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM